

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie		REDAKCJA i ADMINISTRACJA	CENY OGŁOSZEŃ:
Rocznie	6.	Ś. Jerska 15 m. 26	Przed tekstem za wiersz petitu - - - 50 k
Półrocznie	3.	Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 3 i od 5 do 7.	W tekście (nadesłane) - - - - - 1 rb
Kwartalnie	1.50	Skrzynka pocztowa № 52	Po tekście - - - - - 20 k
Miesięcznie	50		
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu			
Rocznie	7.—		
Półrocznie	3.50		
Kwartalnie	1.75		
Miesięcznie	60		

Numer pojedynczy 15 kop.

Demokracja i rozwój narodowościowy.

Stosunki narodowościowe mają dziś u nas w świecie krajowych zjawisk społecznych wagę pierwszorzędną. Wszystkie zagadnienia społeczne wiążą się ze sprawą narodowościową i w ten lub inny sposób jej ulegają. Rozwój krajowy jest pod znakiem narodowości.

Mineły owe czasy tak względnie niedawne, bo jeszcze spólszesne starszemu pokoleniu dziś żyjących obywateli kraju, kiedy to Litwa i Białoruś nie znała tej wewnętrznej rozterki narodowej, która dziś tak się ostro przejawia. Zdawało się, że w kraju tym jest jeden lud, mówiący wprawdzie rozmaitemi językami, ale solidarny i jednolity narodowo. Spór się jeno toczył o posiadanie kraju między Polską a Rosją, właściwie o wyparcie stąd kultury i wpływów polskich przez kulturę i wpływy rosyjskie. Po za tym ludem „litwinów“ ówczesnym, w którym się mieściła tak szlachta mówiąca po polsku, jak mieszczaństwo i masy włościańskie, mówiące po litewsku i białorusku, istniały wprawdzie pewne elementy obce, jak przedewszystkiem żydzi, rosjanie — staroobrzędowcy i t. d., ale to były grupy ściśle i wyraźnie wyodrębnione w organizmie społecznym. Pozór jedności był zachowany. W tych nawet pierwszych zaczątkach i próbach odrodzenia literatury czy to litewskiej czy białoruskiej, które widzimy w początkach w. XIX i które wychodzą przeważnie z łona szlachty, dostrzegamy raczej cechy pewnego li tylko akcentowania prowincjonalizmu, niż świadome kształtowanie się odrębnej i samodzielnej kultury narodowej.

Lecz oto ku końcowi w. XIX sielanka jedności pryska, lud „litwinów“ dawnych, jakim go znali czyli raczej sądzili ojcowie nasi, rozkłada się na odrębne grupy narodowe i w swej starej postaci zanika. Znamy jeszcze do dziś błakające się wśród nowych zmienionych warunków stare typy „litwinów“ wymierającego gatunku przeważnie z pokolenia starszego, które nie chcą uwierzyć w fakt zróżniczkowania się narodowego społeczeństwa naszego i uważają takowy bądź za jakiś przejaw zboczenia zbiorowego, bądź za dzieło intrygi wroga. Większość wszakże, nawet

w swej masie biernej, ulega temu procesowi zróżniczkowania; nowe elementy zróżniczkowania przenikają coraz głębiej do świadomości ludzkiej i przekształcają radykalnie psychikę przeciętną w zakresie narodowościowym. Z ludu „litwinów“ wyodrębnili się litwini właściwi, polacy, wreszcie wyodrębniają się białorusini, ci ostatni najmniej dotąd, tworząc jeszcze w masie swojej środowisko „tutejszych“, to znaczy ludu terytorjalnie miejscowego bez określonej indywidualności narodowej, zróżniczkowanego na „katolików“, identyfikowanych poniekąd z polakami, i „prawosławnych“, identyfikowanych z rosjanami.

I proces zróżniczkowania narodowego postępuje coraz szybciej, coraz energiczniej i głębiej. Narodowości poszczególne zyskują coraz bardziej na tężyznie swej kultury, na zwartości swych szeregów, na wyrazistości swych dążeń. Lata ostatnie po r. 1905 zaznaczyły w tym kierunku postęp znakomity, którego tempo z roku na rok wzrasta. To też jesteśmy dziś w obliczu sprawy narodowościowej, zarysowanej całkiem wyraźnie i zasadniczo innej, niż stary ongi spór polsko-rosyjski o Litwę. Sprawa narodowościowa w jej układzie dzisiejszym, to olbrzymie nasze krajowe zagadnienie wewnętrzne, zagadnienie kulturalne i społeczne pierwszorzędnej wagi dziejowej, którego rozwiązanie należy do kapitalnych zadań przyszłości i musi być już dziś przez pokolenie społeczne torowane. W każdym razie zadanie to staje się z dnia na dzień aktualniejsze i wymaga ciągłego nakładu energii i myśli, zwłaszcza w łonie demokracji, do której przyszłość należy. I nie utartymi drogami tu chodzić należy, lecz z odwagą szukać nowych dróg, ze śmiałością wejrzeniem w istotę zjawisk i rozwoju a z miłością do tych zarodków przyszłości, które się w dzisiejszych zjawiskach i procesach rozwojowych lęgną, a które wyrosną kiedyś w wielkie świetlane jutro, piękniejsze i zwłaszcza prawdziwsze od dnia dzisiejszego. To też nawet w takich przejawach bolesnych i smutnych, jak naprz. dzisiejsze targi językowe w kościele, pełne nienawiści i goryczy posądzeń i walk wzajemnych, szukać należy z miłością tych ziaren piękniejszego jutra, które się w nich przejawiają i po przez ból i brzydotę kiełkują. Procesy rozwojowe mają w sobie potęgę i bezwzględność

żywiółu, to też trudno żądać, aby się zawsze w formach wytwornych przejawiały, gdy mają dokoła taką moc bierną oporu i takie twarde kształty starych układów do przezwyciężenia.

Oczywiście, że ten proces zróżniczkowania narodowościowego nie był dziełem przypadku lub li tylko ewolucji pojęć. Jak wszelkie zjawisko kulturalne miał on głębsze uzasadnienie w samej treści i układzie stosunków społecznych. Ta jedność dawna była li tylko pozorna: Masa włościańska była bierna i niewcielona bynajmniej do tej jedności pozornej. Postępy demokratyzacji społeczeństwa w w. XIX i nadewszystko usamowolnienie włościan wyłoniły proces kształtowania się odrębnych samodzielnych kultur narodowych w kraju. Z chwilą, gdy ludowe masy włościańskie wychodzić zaczęły ze stanu biernego w stan czynny, gdy ujmować zaczęły w swe ręce ster potrzeb własnych i upominać się o ich zaspokojenie czy to w postaci dążenia do oświaty, do postępu gospodarczego, czy też w postaci naprz. wyborów do Dumy lub takich spraw nawet, jak sprawa języka w nabożeństwie kościelnem i t. d., gdy z łona ludu tego wychodzić zaczęła inteligencja, gdy, słowem, masy wyzwalać się zaczęły z powijaków opieki i wywierać coraz czynniejsze i coraz bardziej świadome ciężenie na całym układzie stosunków krajowych, — z tą chwilą indywidualność kulturalna mas tych musiała się uwydatnić jako nowy i coraz to potężniejszy czynnik rozwoju.

Gdzieindziej demokratyzacja społeczeństwa sprowadza nowy dopływ czynników twórczych do dawnej kultury narodowej, — u nas stwarza nowe procesy kulturalno-narodowe, odradzając stare, uspięne przez wieki i przechowane potencjonalnie w masach ludowych narodowości i budząc je do nowego rozkwitu, do nowego pochodzenia w przyszłość. Z głębokich pokładów ludowych wyszły na jaw pierwiastki odrębnej kultury narodowej i przez lud ten stały się czynnikami.

Stare bajki o intrydze obcej, o złej woli przewrotnych agitatorów, odrywających lud od tradycji dziejowej i t. p., — dziś, wobec potężniejszego wciąż ruchu narodowości i wobec coraz bardziej masowego charakteru ruchu tego, wyglądają już zaiste komicznie i nie wymagają sprostowania.

Dziś mamy do czynienia nie tylko z tendencją, ale z faktem w znacznym stopniu już dokonanym.

Jakież stąd wypływać mogą konsekwencje i wskazania dla demokracji krajowej? Jakie ma być jej stanowisko w obliczu faktu tego? Czy ma ona się rozpaść zgodnie z podziałem narodowościowym na odrębne demokracje polską, litewską, białoruską, czy też w łonie społeczności krajowej tworzyć jednolitą więź procesu dziejowego?

Samo postawienie kwestji takiej może się wydać sztucznym i przeto jałowem. Czyż bowiem demokracja jest czemś, co się robić daje i co może być w ten lub inny sposób a priori konstruowane? Demokracja jest przecie właśnie wyrazem świadomej i czynnej woli mas ludowych, opartej na ich potrzebach rozwojowych. Stan czynny mas ludowych jest założeniem demokracji. Demokracja przeto i jej drogi rozwoju nie mogą być inne, niż aspiracje, wola i potrzeby mas ludowych. W tych przeto czynnikach szukać należy rozwiązania zagadnień przyszłości, w nich mieć kryterjum do określenia stanowiska w bieżących sprawach krajowych. Nie o to chodzić powinno, który kierunek się komuś osobiście bardziej podoba, ale o to, który jest ze stanowiska demokratycznego istotnie realny.

Niewątpliwie, jak to już zaznaczyłem wyżej, sama sprawa narodowościowa w jej stanie dzisiejszym jest dziełem demokracji. Zamiast więc jednolitej pozornie i bezbarwnej masy „tutejszej“ mamy dziś kultury narodowe bądź już wyraźnie zindywidualizowane, bądź, jak u białorusinów (i litwinów w gub. wileńskiej), indywidualizujące się. Ten proces zakończony być musi i zakończony będzie.

Niemniej wszakże wszelkie zagadnienia społeczne, nie wyłączając sprawy oświaty i samej nawet kultury narodowej, mieszczą się w ogólnych ramach spraw i stosunków krajowych. I tu już wchodzi w grę pierwiastek nowy, mianowicie obywatelski, określający stosunek jednostki do całości, stosunek obywatela do kraju i do społeczności krajowej. Jak człowiek w stosunku do ludzkości określa swe stanowisko w formule „homo sum et nihil humanum a me alienum esse puto“, tak obywatel w stosunku do społeczności krajowej streszcza się w formule analogicznej.

W. MAKOWSKI.

3)

Tragedja Krasińskiego.

Tu już mamy prototyp, pierwszą myśl, która w formie aforyzmu uogólnia wnioski związane z własnymi przeżyciami, a potem wypowiedziana nieco inaczej będzie zakończeniem Nieboskiej czy Irydiona, wreszcie stanie się ogólną syntezą śmierci i męki, ostatnim wyrazem Krasińskiego twórczości.

Niema potrzeby przypominać tu innych biograficznych szczegółów z życia Krasińskiego, podróży do Petersburga np., którą musiał na żądanie ojca odbyć z nim razem, podróży, która była dopełnieniem jego cierpienia, którą odbywał w najwyższym wysileniu duszy, wobec stanu jego uczuć, jaki już znamy, i cierpienia fizycznych wobec rozwijającej się choroby oczu.

Prawie nie czyta, pisze mało, sprawia mu to wszystko fizyczny ból, a za to myśli o wiele więcej i myśl każda nim dojdzie do słowa, kondensuje się, staje coraz bardziej zwartą. Po raz pierwszy, jako od-

powiednik i wyraz tego stanu ducha ucieka się Krasiński do dramatu jako formy literackiej właśnie skondensowanej najbardziej.

Wtedy właśnie prawie jednocześnie przychodzi dwa wielkie pomysły, mające być główną jeśli nie jedyną podwaliną Krasińskiego nieśmiertelności.

Przeżycia 1830 roku, jakieśmy mówili, wprowadziły Krasińskiego w życie, ściślej otworzyły okno, spuściły zwodzony most, po którym się to życie brutalnie i boleśnie wdarło w twierdzę oszańcowaną jego średniowieczno-bohaterskich fantastycznych światów. I oto przynajmniej przez czas jakiś Krasiński żywo się interesuje życiem. Ale już i teraz, potem zaś w stopniu bardzo wysokim, każdy życiowy ruch, czykolwiek czyn wydaje się mu zdrożnym, zazdrości on ludziom, którzy mogli coś ukochać, w imię czegoś walczyć, zdobyć się na działanie, sam czynić nie umiejąc, w cudzych czynach tylko błędy widzi.

Cytowaliśmy już jego stosunek do przedsięwzięcia i wiary Mickiewicza, taki sam będzie i do wszystkich innych wysiłków człowieczych. Chwilami będzie mu się zdawało, jak zresztą wielu współczesnym, że nowy papież jest człowiekiem opatrnościowym, to znowu za takiego będzie uważał Napoleona III, w nich

Niepodobna z ogólnych szranków społeczności jakiejś, zbudowanej jak dzisiejsza, na zasadach podziału na klasy ekonomiczne, wyodrębnić jakąś grupę kulturalno-narodową w osobną klatkę bytowania i rozwoju, Potrzeby i warunki ekonomiczne w układzie klasowym nie podlegają segregowaniu narodowemu. Proletariat miejski i wiejski, włościanstwo małorolne, drobna własność ziemska, klasa rzemieślnicza i t. d. — są to określone kategorie społeczne, których warunki i czynniki rozwoju płyną z określonych założeń i mają swój kierunek ustalony.

To też jeżeli, powiedzmy, ogólny poziom oświaty i kultury się podnosi wśród włościan litwinów, potęgując wśród nich świadomość ich potrzeb i stan czynny woli a przeto i uzdolnienie do rozwoju, a podniesienie to najskuteczniej się dokonywa w ramach narodowej kultury litewskiej, to oczywiście zyskuje na tem cała klasa włościańska, jako taka. To samo będzie z proletariatem, z klasą rzemieślniczą i t. d. Tu przeto postępy oświaty i narodowej kultury litewskiej przestają być li tylko sprawą wewnętrzną i wyłączną litwinów i stają się sprawą klasy, społeczności, kraju. I w takim razie spotęgowanie się i rozkwit narodowej kultury litewskiej staje się względem społecznie dodatnim, który przeważyć musi nad receptami nacjonalizmu, pragnącego porozsadzać obywateli po klatkach osobnych, zamknąć każdą grupę narodową w odrębnej rzekomo społeczności i wywiązać ich walkę wzajemną. Z tego względu należy nie tylko się przyglądać mniej lub więcej przychylnie postępowi kultury narodowej spółobywateli czy to, powiedzmy, litwinów czy białorusinów, ale ze stanowiska obywatelskiego i demokratycznego należy się do tego postępu przyczyniać, jako do sprawy nie tylko że nie obcej, ale własnej.

Indywidualizacja kultur narodowych w kraju nie niszczy bynajmniej jedynej społeczności krajowej, która trwa stale. Związek społeczny utrzymuje się w postaci obywatelskiej i ogarnia sobą nie tylko dziedzinę potrzeb ekonomicznych, ale też tę właśnie sprawę narodowościową, która się wydaje pozornie jakimś narzędziem destrukcji społecznej.

Nasza terminologia społeczna nie nadąza dziś jeszcze za szybkim tempem nowych procesów dziejowych, których świadkami, zwłaszcza w sprawie na-

mieszcząc tę wiarę, której nie miał dla siebie i dla Mickiewicza, której nie miał dla ludu.

Połowa XIX wieku była tym czasem, kiedy na widownię życia politycznego począł występować lud, coraz wyraźniej przenosząc punkt ciężkości walki społecznej i politycznej do spraw posiadania. Nie była to jeszcze ta forma ruchu społecznego, jaką obserwujemy dzisiaj, ale były to już ruchy proletariackie. Przemysł jeszcze nie był tem, czem jest dzisiaj, antagonizm klas społecznych nie stał się jeszcze tak ostry i wyłączny, mieszał się wciąż i naokół z dawnymi antagonizmami charakteru bardziej politycznego i miało się raczej do czynienia z walką arystokracji i demokracji, niż z jakąkolwiek inną formą walki społecznej, ale zaród nowego ustosunkowania sił już tu jest, i Krasiński dokładnie to rozumie.

Oto obóz, który się nazywa arystokracją, który trwa przy formie życia obecnej, oparty jest o krzywdę i wyzysk, bez duszy jest i bez szlachetności, dawne wielkie tradycje umarły, rycerz przestał istnieć, narodził się — bankier.

We fragmencie p. t. „Wizja“, przechodzą przed wyobraźnią poety duchy stuleci, wywołuje on je ko-

rodowościowej, jesteśmy. Takie formuły terminologiczne, jak stanowisko krajowe, jak społeczeństwo polskie, litewskie i t. p., są dziś bardzo rozmaicie rozumiane i w poszczególnych wypadkach inną poszczególną treścią wypełniane. To utrudnia niezmiernie pracę publicystyczną i staje się nieraz źródłem pomieszania wielu pojęć.

Tu chodziło nie tylko o stwierdzenie tego faktu, że społeczeństwo krajowe, jako takie, bynajmniej przez narodowości zniszczone nie zostało i że demokracja krajowa nie została wyrugowana przez demokracje narodowe polską, litewską i t. d.

W stosunku ściślejszym do ruchu litewskiego i białoruskiego, które są niewątpliwie dziełem tejże demokracji, musi być ona i jest zainteresowaną w ich rozwoju jaknajzupełniejszym dla osiągnięcia całkowitego rozkwitu tych kultur narodowych równoległe z miejscową tu kulturą polską.

Michał Römer.

Wynurzenia białoruskie.

Kto uważnie przegląda wydawnictwa białoruskie, musiał chyba spostrzec, że ostatnio zmienił się znacznie ich ton w stosunku do polaków, a zwłaszcza do miejscowej inteligencji polskiej. Unikając zarzutów konkretnych kwestjonuje się tu jej znaczenie kulturalne, podaje się w wątpliwość szczerą przywiązaną do kraju, niekiedy zaś spotykamy nawet aluzje, stawiające rzekome tendencje polonizatorskie tuż obok zachłanności nacjonalistów rosyjskich.

Ilekróć prasa nasza usiłowała odeprzeć te mgliste napaści, miał odpowiedzi rzeczowej, spotykała się z ironicznymi półśłówkami, zręcznie omijającymi istotę kwestji, a dodającymi natomiast jakieś nowe przycinki.

Jeżeli stosunki polsko-białoruskie dalej w tym kierunku rozwijać się będą, słusznie obawiać się można, iż prędzej lub później zejda one na takie manowce, na jakich błąka się dziś nieszczęsna

lejno, aby przyszyły zetrzeć piętno hańby z jego czoła, o jakim piętnie mowa, wiemy już. Na wezwanie to „Duch wieku teraźniejszego“, trzymający w rękę stempel do bicia monety i bicz żelazny odpowiada: — „Nie znam cię wcale. Nie jesteś z tego wieku... Wiek ten jest wiekiem ciemności i bankierów...“

A z drugiej strony przychodzi obóz inny, demokratyczny, obóz głodnych.

W końcu 1831 roku w Ljonie trwa wielki strejk tkaczy jedwabiu, towarzyszą mu jak wszystkim pierwszym przejawom walki ekonomicznej rozruchy, walki uliczne, starcia z wojskiem, padają trupy.

Patrząc na to wszystko Krasiński będzie mógł powiedzieć: „oczywistem jest, że szybko zbliża się upadek teraźniejszego towarzystwa Europejskiego... coś nowego nieznanego... usiłuje wyjść na wierzch“.

Krasiński widzi tu tylko zbliżający się koniec, nie wita go jednak z radością. Bo to nie jest jeszcze ta naznaczona chwila śmierci, za którą idzie zmartwychwstanie, to to tylko zmiana plemienia. Miejsce jednych ciemności chca zająć inni.

Znamienna jest opowieść Krasińskiego o rozmowie w górach z dziewczynami służebnymi zajazdu,

kwesja polsko-litewska. Wszelkie niejasno formułowane pretensje, wszelkie kolizje, regulowane złośliwymi zaczepkami — to droga do zaognienia walki (o ile walka jest tu wogóle konieczna) i do prowadzenia jej w sposób tak niemądry, jak to widzimy w „Litwie“ p. Sylwestrowicza.

Sądźmy więc, że — póki czas — zapobiec temu należy. Sprawę polsko-białoruską trzeba już w załączku wyprowadzić na światło dzienne, by każda ze stron wiedziała, czego się od niej żąda i co wzamian jej się ofiarowuje.

Postanowiliśmy tedy uczynić krok pierwszy, a mianowicie wy badać opinię działaczy białoruskich, stawiając jasno pytanie: czego chcecie od inteligencji polskiej i jakie stawiacie jej zarzuty? Otrzymałą na to odpowiedź powtarzamy tutaj wstrzymując się na razie od wszelkich komentarzy. Wynurzenia działacza białoruskiego uważamy za głos, który powinien wywołać dyskusję i rewizję obecnego naszego stosunku do ludu.

Oczywiście, mówiąc o inteligencji polskiej, nie mamy na myśli żadnych hrabiów rzymskich, ani uzurpujących reprezentację polskości zdeklarowanych „żubrów“; do tych białoruski ruch ludowy niema żadnych pretensji, bo uważa ich za żywo! zgoła sobie obcy. Inteligencją polską, do której on się zwraca, mianuje wyłącznie tę jej część, która hołduje ideałom demokratycznym i gotowa jest spóldziałać dążeniom postępowym. W szczególności zaś — jak wyraził się nasz informator, wybitny działacz białoruski — uwagi swe kieruje on pod adresem tego odłamu tutejszej inteligencji polskiej, która występuje pod znakiem krajowym.

— Właśnie — mówił — na tę ich krajowość chciałbym zwrócić uwagę, bo jest ona szczególnego rodzaju. Zapominają oni o tem, że z ogólnego punktu widzenia inteligencja ma w każdym kraju jasno określoną rolę: lud daje pracę fizyczną, ona — umysłową, której celem jest podnoszenie kultury miejscowego, to znaczy — kultury miejscowego ludu. Powtarzam: pracę kulturalną rozumiemy tylko jako rozwijanie kultury lokalnej.

Tę pracę utrudnia u nas i gmatwa oko-

liczność, że lud jest białoruski, a inteligencja polska.

— Ależ — przerwałem — jest tu także lud polski.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

— Kogo tu uważacie za lud polski? — zapytał.

— No, choćby drobną szlachtę.

— Część może jest polska z pochodzenia, ale nie można tego mówić o całej masie t, zw. szaraków. Są to prawdopodobnie potomkowie t. zw. „bojarów putnych“; bo gdzieżby się oni podzieli? Gdzieżby się wogóle podzieliło całe dawne bojarstwo białoruskie?

— Jednak nie da się zaprzeczyć, iż w wielu okolicach lud tutejszy mówi po polsku.

— Nie przeczymy też wcale. I wogóle nie myślimy bynajmniej wychodzić tu z punktu widzenia genealogji, opierać się na pochodzeniu i krwi miejscowego ludu. Stwierdzamy wszakże, iż gmin polskich stosunkowo jest mało; gmin białoruskich — dużo. One też nadają charakter krajowi i kto chce rozwijać właściwą mu kulturę, kto kraj chce podnosić, ten szczerpie ją winien na gruncie i w duchu białoruskim.

Tymczasem inteligencja polska konieczności tej wcale nie odczuwa. Wszystko, cokolwiek robi dla cywilizacji kraju, uważa to nie za służbę, nie za obowiązek względem ludu miejscowego, ale niejako za filantropję, łaskę, ofiarę z dobrej woli Oświata, naprzykład...

— Chyba — przerwałem znowu — za stan oświaty nie można dziś czynić odpowiedzialną inteligencję polską. W obecnych warunkach...

Nie dał mi jednak rozmówca dokończyć tego zdania.

— Przepraszam — rzekł. — Wskażę panu zaraz ciekawe cyfry. Oto, według spisu z r. 1911 na każde 1000 mieszkańców do szkół chodziło dzieci:

w gub. kowieńskiej	18
„ wileńskiej	28
„ grodzieńskiej	44
„ witebskiej	38

kóre w sposób prosty i jaskrawy otwierają przed Krasińskim widok na obóz Pankracego, na istotę walki.

„Dobrze zrobili robotnicy, mój panie — zawołała czarna wykręcając ścierkę w rękach, jakby kręciła kark dziecku — oni chcą równości. Już oddawna przyrzekają nam równość w niebie, niech się wprzód na ziemi rozpocznie... dość długo zginaliśmy kolana przed wami, każdy niech spełni swą rolę, każdy po kolei, do djaska!“ I wybuchnęła śmiechem, który mię o dreszcze przyprawił“.

Wszystko to jest charakterystyczne i słowa dziewczyny — dla epoki i porównanie Krasińskiego i „dreszcze“ jego — dla niego samego.

Cholera srożyła się w Europie. Wybuchły ruchy ludowe. Wyobrażał je sobie Krasiński, rozumiał, widział: „lud powie: Jakt bogaczów nie tyle umiera co nas hołyszów... Ah! jeśli mamy umrzeć jutro — zemścimy się dzisiaj“.

„Brawo przyjaciele moi — naprzód! Gdybyście byli chrześcijanami umarlibyście w milczeniu... Ale kto tu będzie mówił o krzyżu? Sztandarem Ludu to głowa, drżąca na pice wśród śpiewów. Palcie i niszczenie! Niech każdy niesie swoją dawkę zbrodni ku

nieśmiertelności: szlachta, stan średni, biedacy. A biedacy nie mają szczęścia, bo Jezus Chrystus wybrał ich na swój lud, ale oni nie umieją czekać na króla swego... A w ów dzień szatan zaciera ręce z radości i patrzy na ziemię, jak dziecię na zabawkę i mówi sobie „Stłukę ją“.

Mamy tu już Pankracego i Leonarda i Masy-nisse. Nie mamy jeszcze hr. Henryka i Irydjona. Ale on się przetworzy z Adama Szaleńca, z młodzieńca, wywołującego wizję ducha wieku, za chwilę zobaczymy i jego.

Tymczasem wiemy tylko, że świat dzisiejszy ginie, że śmierć jego zbliża się wielkimi krokami i że tu i tam niema nic, co by godne było przetrwania.

Mamy zatem gotowy już materiał, tło i zasadnicze linje obydwuch wielkich dramatów Krasińskiego.

W Boskiej Komedji Danta znalazł Michelet „Skargę kończącego się świata na nowy brzydki świat, który po nim nastaje“ — to samo było i u Krasińskiego.

(D. n.)

w gub. mińskiej	38
„ smoleńskiej	53
„ mohylowskiej	52

Natomiast już w r. 1897 spis jednodniowy okazał, że odsetki umiejących czytać były następujące:

w gub. kowieńskiej	42,1 proc.
„ wileńskiej	29,3 „
„ grodzieńskiej	29,1 „
„ witebskiej	24,6 „
„ mińskiej	17,7 „
„ smoleńskiej	17,2 „
„ mohylowskiej	17,0 „

— Czego to dowodzi?

— Czego? Otóż te cyfry pokazują, że tam, gdzie dzieci uczą się w szkołach publicznych, istniejącego typu, w najlepsze kwitnie analfabetyzm; gdzie zaś dzieci do szkół chodzą mniej, tam oświata lepiej się rozpowszechnia. Masz pan dowód, jak olbrzymią rolę odgrywa u nas nauczanie prywatne.

Nikt jednak nie widział, a przynajmniej myślny nie widzieli, by nauczanie to odbywało się po białorusku. Filantropja oświatowa naszej inteligencji skłonniejsza jest do rozpowszechniania raczej czytelnictwa rosyjskiego, niż białoruskiego. Jest to ciągle dawanie kultury, szczepienie jej zzewnątrz, a nie rozwijanie i kultywowanie zadań rodzinnych.

Nadto, odkąd zaognił się ruch litewski, od kąd ruch białoruski podjął hasła mocno demokratyczne spostrzegamy wycofywanie się inteligencji polskiej, zrzekanie się wpływów kulturalnych na lud białoruski. Ogranicza ona coraz bardziej swą pracę oświatową i w opiekę bierze wyłącznie już tylko lud polski, nie stanowiący zasadniczego elementu krajowego.

Tym sposobem inteligencja polska, zasilająca swą pracą jedynie polskie wyspy na obszarach białoruskich, schodzi na stanowisko kolonistów. Wprawdzie zaznacza ona odrębność tutejszych interesów od interesów Królestwa, ale czyni to z punktu widzenia potrzeb kolonji polskiej na Litwie, a nie samej tej Litwy, *respectively* Białej Rusi.

— Zatem panowie domagacie się, by inteligencja polska pracowała razem z wami i pod waszym sztandarem?

— Naturalnie. My uważamy to za jej obowiązek. Pomyśl pan tylko, jak dużo jest tu inteligencji polskiej, a jak mało ludu polskiego; przeciwnie zaś: jak dużo ludu białoruskiego, a jak mało inteligencji białoruskiej. Jeżeli inteligencja polska troszczyć się chce wyłącznie o tutejszy lud polski, to cała jej robota będzie drobiazgiem. Natomiast nam przypadnie praca nad siły. Inteligencja polska, która jest mimo to miejscową inteligencją, usunęła się od naszego ruchu, umyła ręce, niby nie chcąc nam przeszkadzać. Lecz skutkiem tego cały ten ruch, ruch chłopski, stał się poniekąd inteligienckim. Jest to z jednej strony krzywdzenie postępu, z drugiej sprzeniewierzenie się tradycjom.

— Jakto tradycjom?

— Tak. Bo do r. 63 inteligencja polska mocno odczuwała związek swój z krajem i ludem. Jakkolwiek nie zdawała sobie ona sprawy z odrębności plemiennej białorusinów, choć nas uważała za szczep polski, występowała jednak w du-

chu szczerze demokratycznym i zwracając się do ludu, używała jego mowy i tem samem już kultywowała ją. Wówczas pisali po białorusku: Rypiński, Barszczewski, Czeczot, Podbereski, Korotyński, a Syrokomla jeszcze w r. 48 ułożył wiersz agitacyjny *po prostemu*. Każdy przyływ uczuć demokratycznych, hasła ludowych bogacił siłami polskimi literaturę białoruską, której w latach 50-tych Marcinkiewicz niespożyte oddał usługi.

Wszystko to urywa się po r. 1863. Elementy bardziej demokratyczne wyteplono i aż do lat 80-tych zapanowała martwota. Aż wreszcie wyrosło nowe pokolenie, pokolenie, które — wykształciwszy się w Rosji — przyniosło nam tamtejsze „narodnichestwo“, wraz z hasłami bardzo radykalnymi. Zjawia się pierwsze pismo białoruskie „Homon“ w Mińsku, dokoła którego grupują się jednostki z ludu i osobniki, usposobione wyjątkowo demokratycznie, z pośród inteligencji polskiej. Polski stary demokratyzm zespała się z młodem rosyjskiem „narodnichestwem“ i stwarza ruch, który, jakkolwiek zdaje sobie sprawę, że dla ludu pracować można tylko w jego języku, daleki jest od jakichkolwiek dążeń narodowych.

Dopiero w latach 90-tych do hasła społecznie radykalnych przyłączają się postulaty narodowe. Ale wówczas to właśnie spostrzegamy odwrót inteligencji polskiej.

— Czem go pan motywuje?

— O, jestem pewien, że podkładem tego zwrotu była, może zresztą nawet nieświadoma, odrębność interesów stanowych, ekonomicznych i społecznych. Odtąd nawet inteligencja postępuje zaczyna od ludu stronić, odosabnia się, pozostawiając własnym siłom młodą inteligencję białoruską.

My jednak żądamy pomocy; żądamy jej nie tylko od inteligencji polskiej, ale i rosyjskiej, o ile ta pragnie istotnie służyć tutejszemu krajowi i ludowi tutejszemu. Twierdzimy stanowczo, że inteligencja, nie chcąc pozostać kolonizatorskim nalotem, winna na Białej Rusi popierać ruch białoruski i odrodzenie kultury białoruskiej.

Oto są nasze żale i pretensje, możliwie krótko sformułowane.

Temi słowy rozmówca nasz zakończył swe wynurzenia.

Józef Sorokowicz.

ECHA LENY.

(Korespondencja własna „Przegl. Wil.“).

Petersburg 24 kwietnia.

Od jesieni 1910 roku nie poruszyło nic tak szeroko i głęboko rosyjskiej opinii publicznej, jak wypadki lenskie. Nie dlatego stało się tak, by 1911 rok był ubogim w wypadki posiadające polityczne i społeczne znaczenie w Rosji, jeno dlatego, iż żadne z nich nie były tak jasne, proste, wyraziste, tak przemawiające same za siebie bez komentarzy. Rok 1911 niejednokrotnie poruszał uśpioną powierzchnię rosyjskiego morza społecznego, lecz do głębin dochodziły te objawy tylko urywkowo i nieznacznie, stanowiły one „hieroglify“, zrozumiałe dla zewnętrznej warstwy politycznej, a raczej politykującej, nie dla masy społecznej.

Akt z d. 3 marca i związane z nim wypadki

w Izbach państwowych, groźba wojny na Dalekim Wschodzie, walka z wyższą szkołą, tragedja kijowska z d. 1 września, walka frakcji s.-d. o sprawę s.-d. z II Dumy — oto ważniejsze epizody 1911 roku: bez kwestji siłą rzeczy szykowały one grunt, jednak nikt się nie spodziewał, iż jakikolwiek fakt z dziedziny „polityki wewnętrznej“ może wywołać tak potężny masowy odruch, jak to się stało z wypadkami leńskimi.

Poczynając od sfer rządzących, a kończąc na przeciętnym obywatelu, każdy otwiera oczy ze zdumieniem, gdy czyta codziennie dziesiątki, a nieraz setki informacji o protestach robotniczych przeciw wypadkom leńskim.

Trzecia Duma nie potrafiła dać godnej przedstawicielstwa narodowego odpowiedzi na fakt, który, jak zapewniał p. Makarow, „był i będzie“, nie tylko nie potrafiła, lecz nawet quorum zabrakło, gdy trzeba było głosować nad odnośną interpelacją, a gdy rozprawy ledwo się rozpoczęły, większość Dumy miała zamiar „skrócić im kark“ przez gilotynkę, bo czuła coś niedobrego, zaczęła się bać, wpadać w trans strachu, w którym się zrodziła.

Duma jednak okazała się tym razem zbyt czną — setki tysięcy robotników odpowiedziały na tragedję w Bodajbo, i na komentarz do niej udzielony przez p. Makarowa, a stanowiący drugi akt tejże tragedji, według słów p. Maklakowa, odpowiedziały zgodnie, żywiłowo, spokojnie a mocno: „jesteśmy!“

Była to sui generis mimowolna t. zw. „piekliczka“. Biorę pierwszy lepszy numer wychodzącej obecnie codziennej gazety robotniczej w Petersburgu p. t. „Prawda“ i znajduję w nim protesty robotników 60 fabryk petersburskich i jeszcze raz tylu prowincjonalnych. To protesty „pisane“, a protest, którego wyrazem był strejk „jednodniowy objął wszak wszystkie centra przemysłowe.

Że ruch ten był żywiłowym najlepszy dowód, iż ów strejk jednodniowy wybuchał gdzieindziej i obszedł np. w Petersburgu bez wyjątku wszystkie fabryki i najdrobniejsze warsztaty. Ten żywiłowy objaw solidarności klasy robotniczej przechodzi obecnie w szereg poszczególnych strejków ekonomicznych. Ruch robotniczy daje znak swego istnienia i nie dziwnego, że w tymże czasie i przedstawiciele rządu i bardziej przewidujący prawodawcy staczają prawdziwe walki z przedstawicielami przemysłu w Radzie Państwa, aby jaknajprędzej wykończyć choć jeden projekt o ubezpieczeniu robotników na wypadek choroby.

Tak jak większość Dumy chciałyby pozbyć się dyskusji leńskiej, sądząc, że tą drogą odsunie widmo sprawy robotniczej, tak „mężowie stanu“ z Izby Wyższej z hr. Wittem na czele chcieliby to widmo odstraszyć jakimś prawem, posiadającym pozory sprawiedliwego prawodawstwa socjalnego.

Czy im się to uda? Wątpliwe, choćby dlatego, że taż sama tragedja leńska jest jeszcze daleką od swego epilogu. Rotmistrz Treszczenko i władze miejscowe starają się, by pamięć o nich nie prędko zaginęła.

Wbrew enuncjacjom gen.-gub. Kniaziewa, który uważa strejk leński za ekonomiczny, p. Treszczenko i prokurator Preobrażenski kompletują dowody rzeczowe, by poprzeć tezę, iż strejk był politycznym, a postawa i zachowanie się robotników groźnemi. Nic ich nie obchodzi: przedstawi-

cielom adwokatury irkuckiej, którzy chcieli przyjechać do Bodajbo dla ułatwienia prowadzenia sprawy górnikom, oświadczyli, że wysiedlą ich, jako agitatorów politycznych; winowajców szukano i znajdowano bez ogródek. Dość wspomnieć, iż uważany przez p. Makarowa na niocy informacji p. Treszczenki za głównego winowajcę b. poseł do II Dumy, Bałaszew, znajdował się w odległości 800 wiorst od wypadków leńskich.

Ta bezwzględna robota przedstawicieli administracji w tajdze głośnym echem odzywa się po całej Rosji — mamy przed sobą rzeczowe dowody, iż puls prawdziwego społecznego życia, podrabiany przez większość III Dumy, nie zamarł, przeciwnie, w końcu jej działalności został wyprowadzony z odrętwienia i gotów poruszyć wahadło polityczne z tej płaszczyzny, na której miarowy ruch jego był przerywany tylko przez intrygę polityczną, walki osobiste i spółzawodnictwo uprzywilejowanych stronnictw, czy też osób.

St. Gr.

Walka kleru z ludem.

Wojna, którą wypowiedziało duchowieństwo katolickie ludowi polskiemu, dążącemu do samodzielności w Królestwie, jest obecnie żywo omawianą na szpaltach prasy warszawskiej. Poważnie się zastanawia nad tem znamienym zjawiskiem „Kultura Polska“ miesięcznik, redagowany przez A. Świętochowskiego. Artykuł, mający znaczenie zasadnicze, powtarzamy poniżej dosłownie.

„Kler katolicki postanowił dalej prowadzić wojnę z naszym ludem wiejskim i miota w niego swoje ostatnie, zatrute strzały. Po niezliczonych napaściach z ambon, po oszczerczych artykułach pism klerykałnych, po klątwowych listach biskupów, rzucono obecnie pocisk wielkiego kalibru — okólnik arcybiskupa warszawskiego przeciwko czytelnikom i przyjacielom Zarania. Jakkolwiek ich zastęp jest obecnie już bardzo liczny i obejmuje dziesiątki tysięcy włościan, zacieśnienie granic religijnej kanonady do obrębu „zaraniarzów“ jest sztuczną redukcją ruchu, rozlewającego się coraz szerzej i rozwijającego się coraz silniej. Redukcja ta jest potrzebna strategom „kościół wojującego“, ażeby przeciwnikom odebrał znaczenie, przedstawiając ich jako garść odszczepieńców. Podobnej taktyki używał Watykan, ciskając gromy na „masonów“ i „modernistów“, a ogarniając temi nazwami wszystkich niedowiarków i księży wolnomysłnych, którzy masonów i modernistów nigdy nie widzieli, a nieraz nawet o nich nie słyszeli. Pod mianem również „zaraniarzów“ rozumieć należy wszystkich tych wśród ludu wiejskiego, którzy usiłują wyswobodzić się z duchowej i materialnej niewoli u duchowieństwa, którzy ośmielają się myśleć i sądzić krytycznie o jego słowach i czynach, często bezprzykładnie zuchwałych, niegodziwych i gorszących.

„Od surowych kontrolerów sumienia ludzkiego należałoby się spodziewać rzetelności przynajmniej w wystąpieniach publicznych. Tymczasem autorowie okólnika arcybiskupiego nie mogli się powstrzymać od bardzo pospolitego kłamstwa. Mianowicie, zabraniają oni wiernym pod groźbą nierozgrzeszenia czytać pismo, które „systematycznie podkopuje wiarę katolicką ludu i powagę Kościoła

świętego". Ci, którzy znają bodaj jeden numer „Zarania“, wiedzą, że jestto wierutny fałsz, gdyż właśnie znamienym jego rysem jest bezwzględne przywiązanie do wiary i kościoła katolickiego. Ażeby ten zarzut poprzeć, trzeba utożsamić kościół z duchowieństwem, a wiare—ze wszystkimi jego ciemnymi zabiegami, niemającymi żadnego związku z religją i obrażającymi jej zasady. Jeżeli „zaraniarze“ wyznają wszystkie dogmaty katolicyzmu, a nawet przypisują swoim „ojcom duchownym“ pewną nieomyślność, ale przytem opierają się ich wyzyskowi, ponieważ, nadużywaniu ambony do celów osobistych lub stronnicych, prowadzeniu moralnego bandytyzmu—to ma znaczyć, że „podkopują wiare katolicką i powagę kościoła“. Okropna byłaby to wiara i okropny kościół, gdyby do nich należały również wszystkie zdrożności księże.

Kiedy ks. Stojalowski porwał za sobą gromady chłopów w Galicji, posypały się na niego złorzeczenia i klątwy biskupie. Ani on się ich nie uląkł, ani rzesza go nie opuściła, wypowiedziawszy posłuszeństwo papieżykom. Po dwudziestu paru latach buntownik, pomimo, że obłocił się w różnych kałużach, uznany został za przyjaciela ludu nawet przez tych, którzy go szczuli najzłośliwszymi psami. Jest to zwykły rezultat podobnych wojen; powtórzy on się niechybnie u nas. O powstrzymaniu ruchu emancypacyjnego naszych włościan, zbyt długo ogłupianych i poniewieranych przez księży, mogą marzyć tylko naiwni teokraci, którzy stracili zupełnie zdolność rozumienia rzeczywistości. Rozpęd ten doszedł do takiego natężenia, że zbuntowani prędzej zerwą węzły religijne z duchowieństwem, niż poddadzą się jego tyranii. Jest to tem pewniejsze, że bojownicy kościoła wojującego zaniechali wszelkich środków dyplomacji i podstępnego sidłania: najczęściej uderzają brutalnie, bez skrupułów i wyboru broni, nie gardząc ani najordynarniejszymi wymyślaniami, ani najzuchwalszą potwarzą. Lud to widzi i ocenia odpowiednio na pytanie: jaki cel mogą mieć „pasterze dusz“ w tej nienawiści i kłamstwie, nie może znaleźć innej odpowiedzi, prócz tej, że chodzi im nie o dusze, ale o własną kieszeń i wpływy. Wobec tej szeroko rozbudzonej świadomości, o której redaktorzy papierowych piorunów nie mają widocznie najmniejszego pojęcia, obecna wojna kleru z „zaraniarzami“ musi skończyć się jego zupełną porażką.

„Prawda“, polemizując ze „Słowem“, utyskującym na zuchwałość chłopów, ośmielającego się krytykować ks. proboszcza, stwierdza kategorycznie: „Lud przeciera oczy. Budzi się wśród niego jakaś nowa, nieugodowa myśl. Panowie, kler, ugoda i Demokracja Narodowa zauważyli, gdy kielkowała. Przez lata odrzucali wszelkie niemiłe zagadnienia, uważali lud za rekruta „bajecznie kolorowych banderji“, tak ładnie galopujących przy karacie arcybiskupiej na uroczystych objazdach djecezji, a dzisiaj spostrzegłszy nagle, co lud ten czyta i jak pisze, rwą włosy“...

Najciekawszem jest oczywiście, co myślą i czują sami wyklęci. „Zaranie“ otrzymuje stopy listów od swych czytelników. Na ogół dźwięczy w nich ton mocny, spokojny, pełen godności. Przebijają z nich pewność: nie damy się! Nie brak rzecz prosta i głosów trwogi, że naganka kleru odstraszy i zniechęci słabszych i bardziej ciemnych. Tym dodaje otuchy w słowach szczerych i wrzuszających swą prostotą niestrudzony dzia-

łacz ludowy, redaktor „Zarania“ p. M. Malinowski. Przemawia on do czytelników „Zarania“:

„Bracie czytelniku! Oto przez lat pięć służy ci „Zaranie“ szczerem sercem i prawdą. Służy ludowi prawdą, bo jej pragnął, bo pragnął poznać prawdę o wszystkim, co go dotyczy w życiu społecznym z braćmi po pługu i jedności ludowej i z ludźmi „wyższych“ stanów. I pragnął poznać prawdę w dziejach przeszłości narodu naszego, z dziejów samego ludu, ażeby, poznaawszy prawdę, sam miarkował, dokąd mu iść i jakimi kierować się zasadami.

Sam chciałeś poznać prawdę w tych rzeczach i żądałeś od „Zarania“, jako swojego, w duchu ludu, pisma, ażeby ci ją ono głosiło i wszelkie stosunki i okoliczności szczerze wyjaśniało.

I oto przez lat kilka pisałeś do „Zarania“ i wynurzałeś w niem swe bóle, skargi i żale, albo wyrzuty na niesprawiedliwość, gdzie ona jest, lub na czyny niegodne albo szkodliwe dla ludu, zatem i narodu.

Kiedyśmy dla dobra ludu i narodu łamy „Zarania“ otworzyli, żebyś na nich swym wolnym, szczerym głosem przemawiał — rzecz godna uwagi—najwięcej żalów, skarg i wyrzutów poczęliście, bracia, wylewać na księży. Było to dla nas niespodzianką. Pilnie czytaliśmy te listy, słuchaliśmy skarg wyrażanych osobiście... mnożyły się wciąż i do dziś nie ustają. Widocznie zło jest, a skargi i wyrzuty ludu dążą do wyrwania korzenia zła.

Pragnąłeś, bracie, żebyś miał prawo przemawiać i upominać się o swoje i braci-lud prawa, krzywdy, o wolność oświaty, wolność rozwoju umysłu i dążenia tam, dokąd ci droga, rozjaśniona świadomością obywatelską, oraz pracy społecznej i narodowej... zrozumiałeś, że naród nasz poparł niedole, bo nie większość, ale mniejszość rządziła w narodzie, najczęściej osobiste lub stanu swojego widoki mając na względzie.

I oto wyrażałeś w „Zaraniu“ swe poglądy, dążności, skargi, bóle, a za to...

I za ten twój, bracie-chłopie, głos wolny, szczerzy, potrzebny, pożyteczny dla dobra ogólnego posypały się na nas... wyklęcia.

Żeś prawdę mówił, wyklinają za to „Zaranie“ i ciebie, co piszesz, i ciebie, który czytasz „Zaranie“, a czytaniem tem krzepisz się, oświecasz, a nieraz zapalasz do szlachetnej pracy dla spółbraci: dla wsi, gminy, narodu całego... za to cię wyklinają! Nie czytaj tego — mówią — bo tem popelniasz grzech śmiertelny...

Jesteśmy tedy wyklęci za głoszenie lub czytanie prawdy za to, że się sam lud słowem prawdy odezwał i o swoje upomniał.

I jakże się to w twojej, bracie, głowie układa? Co ci na to serce i sumienie odpowiada? Grzechże to powiedzieć, choćby księdzu: za wiele dobrodziejstwa, bierzesz!? Grzechże to przed Bogiem, mówić: księże prałacie, nie tak czynicie, jak nauczacie? Albo czy grzech przed Bogiem powiedzieć księdzu: prosimy o rachunki z funduszów kościelnych, albo: nie trzeba chłopu zagradzać drogi, gdy idzie do prawdziwej, szeroko pojętej oświaty.

Co na to wszystko mówi twój, bracie, zdrowy chłopski rozum?

Czy mamy się poddać? Czy masz odwagę bronić tego, coś uznał za uczciwe, sprawiedliwe i dobroczynne dla siebie, braci-ludu i narodu całego, i coś nawet sam pisał, wyznawał i w duszy dotąd wyznajesz?

Czy mamy swych praw, oraz głosu prawdy i sprawiedliwości wyrzec się? lub czy mamy we-

dług polityki duszy pańszczyźnianej udawać popularnych i pokornusięnkich wiernych i w duszy tylko pozostać zaraniarzami, — czy też według rycerskiego zwyczaju, z otwartą przyłbicą, ze śmiałym okiem, bo sumieniem czystym — nietylko wytrwać, ale rozszerzać swą ideję chłopską, ludową!

Co robić?

W tem miejscu godzi się zapytać: czy chodzi o chowanie się, by jeno czyich oczu nie bolał widok ludowca? czy też chodzi o to, by to, co zostało upragnione przez lud — wolność rozwoju i społecznienie samodzielnego ducha ludu polskiego, żeby to przestało być krępowane?

Jak sądzisz, bracie czytelniku? którą odpowiedź powinienś dziś dać i ty i ogół braci — ludu polskiego ogół?

Na co się teraz zdobędziesz, tak będzie tobie i dzieciom twoim“.

I niewątpliwie większość czytelników odpowie: śmiało iść naprzód! Bo prawda musi zatryumfować, jak zwyciężyła już gdzieindziej. W tym samym numerze „Zarania“ znajdujemy pogrębiający list chłopa-ludowca z Galicji.

„Przykra to nad wyraz dla nas nowina i boleść, o którejśmy się dowiedzieli, żeście zostali potępieni przez biskupów, którzy wam zakazali czytać i prenumerować gazetę „Zaranie“. A dlaczego? Dlatego samego, co i nam tu ongiś nie kazano czytać „Przyjaciela Ludu“, bośmy w nim pisali prawdę i mówiliśmy co nas boli i wołaliśmy, by zniesiono niewolę i pisaliśmy, że tu i owdzie ksiądz nie chciał znać ludu i jego potrzeb, a za dużo żądał dla siebie; nie chciał, by chłop nauczył się sam pracować umysłowo i widział, którą drogą bliższa do zwycięstwa.

Cierpieliśmy wytrwale, choć nas ogłaszano za złoczyńców, traktowano jak zbójów, kuszono i podburzano przeciwko nam sąsiadów, kumów, rodzinę, wójtów... zwano nas nieomal czartami.

Dzień i noc gryzło to nam duszę, aż ogół po-

Czy mamy się podać... nie strachowi, że grzeszymy, ale polityce, która chce rządzić... owcami i w oborze je swojej posiadać, na pasku lub na powrózku swoim?

znał, że nasza prawda, — a każdy czyn nasz, wyklętych, pilnie obserwowano.

Była i pewna część duchownych co dodawała nam odwagi, mówiąc cicho: „wasza prawda, jeno nam polityka... wyższych przyznać tego jawnie nie pozwala“.

No, i prawda zwyciężyła. Myśmy wytrwałością zdobyli już pewne prawa i za ludzi zostaliśmy uznani.

Co wy jeszcze przechodzić będziecie, to my czujemy, to my widzimy, to byśmy to sami przeszli.

Wytrwajcie tylko i ze spokojem w duszy ciągle walczyć! Ja również należałem do wyklętych, a dziś ksiądz, który publicznie wołał, żeby za mnie nie głosować na członka do komitetu kościelnego, bo ja nie budować będę kościoła, ale rozwałę, — ten sam ksiądz powiada teraz, że ze mną... rozmawiać można. Jako przewodniczącemu komitetu kościelnego on dziś mnie idzie z pomocą, bo wie, że ja nie pochwalam religijności, polegającej na klepaniu zdrowasiek, ale żądam takiej, która się życiem, według słów Zbawiciela i Jego nauki potwierdza i na każdym kroku czynem objawia, i nie czyni drugiemu tego, co jemu niemiłe.

Może nie potrafię wam, bracia, wypowiedzieć tego, cośmy przeszli, bo to się i nie da ująć w krótkich słowach, więc kończę na tem: abyście wy-

trwali, a przeszedłszy ten czyściec na ziemi do-czekali się razem z nami ujrzeć Jutrzenkę swobody i wolności, o której duch nasz wspólnie marzy.

Śle wam najserdeczniejsze pozdrowienia i życzenia zwycięstwa.

Jan Babicz, z Niedźwiady, z Galicji“.

Zaiste „wyklinanie nie stłumi ruchu ludowego, bo on idzie, jako fala, zataczając coraz szersze kręgi — a skargi tu nic nie pomogą; lud pójdzie swoją drogą“ — w tych słowach chłop — zaraniarza z gub. kaliskiej brzmi niespożyta moc i odpowiedź zwycięstwa.

PROTEST.

Zamieszczamy protest poniższy, solidaryzując się pod tym względem w zupełności z warszawską prasą postępową.

Polska prasa postępową, wstrząśnięta do głębi tragicznym położeniem ludu polskiego i grożącą mu klęską rozłamu i bratobójczej walki, poczuwa się do obowiązku wskazania na wielką odpowiedzialność, jaka spadnie na społeczeństwo polskie, jeśli nadal wytrwa w swej obojętnej neutralności.

Duchowieństwo wszczęło krucjatę przeciw „Zaraniu“, jego czytelnikom i zwolennikom, najostrzejszą bronią, jaką rozporządza — gromami klątw kościelnych.

Rozdziera lud polski na nieprzejednane obozy, wyrzuca poza obręb kościoła tysiące chłopskich rodzin, pragnących w nim pozostać, odmawia im ślubów, pogrzebów, nabożeństw i sakramentów, używa jednych za narzędzie do prześladowania innych i do wskrzeszenia złowrogiej tradycji wojen religijnych, przeciw którym instynkt samozachowawczy narodu naszego zawsze usiłował się bronić, choć nie zawsze skutecznie.

Nieszczęsna ta krucjata obwołana została właśnie w chwili, gdy lud nasz zaczął się budzić z wiekowego snu do szerszego, pełniejszego życia, zaczął garnąć się do oświaty, dźwigać swój dobrobyt, organizować swe siły ekonomiczne, tępić pijaństwo, oraz brud moralny i fizyczny, w którym — niestety — dotąd grzęznąć mu pozwolono.

„Zaraniarze“ są przednią tego ruchu strażą. Oni to najgoręcej popierają szkolnictwo ludowe, zrzeszenia gospodarcze, czytelnictwo wiejskie, z zapalem apostołskim propagują trzeźwość i poprawę obyczajów.

Nikt nie ośmiela się twierdzić, aby jakakolwiek forma demoralizacji była już nietylko popierana, lecz choćby tolerowana przez ruch zaraniarski.

Toż samo co do religii. Ani „Zaranie“ ani jego czytelnicy i korespondenci nie zaczepiają żadnego z jej dogmatów lub obrzędów. Nikt z nich nie dąży do zerwania z katolickim kościołem, jego nauką i jego kultem. „Zaraniarzom“ ani w myśli nie powstało, by tworzyć jakąś sektę; trwają przy katolicyzmie nawet wbrew woli jego urzędowych przedstawicieli.

Jedynym powodem tej zjadłej walki, tego nieubłaganego prześladowania, jest krytyka postępowania kleru i obrona przed wyzyskiem z jego strony. Cała herezja „zaraniarzy“ na tem polega, że żądają, by ksiądz sam praktykował cnoty, których naucza.

Nie wolno nam spokojnie patrzeć na to, gdy duchowieństwo w obronie swych dochodów, nałogów i słabostek zawieruchą walki religijnej burzy spokój wsi polskiej, uzbraja do bratobójczych zapasów jeden odłam ludu przeciw drugiemu i wnosi tragiczny rozłam w łono rodzin chłopskich, podszczuwając żony przeciw mężom, dzieci przeciw rodzicom.

Nie wolno spychać ludu rwącego się ku światłu w otchłań barbarzyństwa, szczepić mu zarazy fanatyzmu, której na szczęście nie zna jego natura.

Mogą księża wydawać własne pisma ludowe, wlewać w nie cały zapał i talent, na jaki ich stać, wszelkimi godziwymi środkami stwarzać przeciwwagę dla wpływów „Zarania“, jeśli z ich punktu widzenia jest to pismo szkodliwe.

Jeżeli jednak ambona i konfesjonał służą im za szaniec do obwarowania własnych materialnych i społecznych przywilejów, to głos opinii publicznej musi podnieść się przeciw temu gorszącemu nadużyciu i osłonić swą powagą lud polski przed zuchwałym wicherzycielstwem, podkopującym jego zdrowy i normalny rozwój.

W rozwoju tym jest przyszłość narodu.

Przeciwko ciężkiej krzywdzie, zadanej ludowi polskiemu przez barbarzyński posiew fanatyzmu, ciemnoty i podżegania do bratniej waśni — z oburzeniem protestujemy.

JAK LUD ŻYJE.

Ktokolwiek był w Rzymie, albo zajął się Rzymem ze stanowiska socjologicznego — słyszał o dzielnicy Testaccio. Jest to najbiedniejsza, najniebezpieczniejsza dzielnica „Wiecznego Miasta“. „Rzymianin“ — mówi o niej niechętnie, nieledwie ze wstydem. Na Testaccio ukrywają się apasze, przestępcy, ścigani nadaremnie przez władze państwowe. Tu panują paserzy i prostytutka, — najciemniejsza i najwstrętniejsza, tu organizują napady bandyckie, tu najmują złoczyńców. Burżuazja i policja tu szukają najniebezpieczniejszych „anarchistów“. Cudzoziemcy z czerwonym Baedekerem w rękę w tych stronach odszukują mogił słodkiego Shelley'a i Keats'a. Rzymianin niechętnie mówi o Testaccio i stara się o niem nie myśleć i nie wiedzieć.

Testaccio jest dzielnicą robotniczą, zapełnioną, zapchaną domami o małych mieszkaniach, o ciemnych, brudnych, lepkich z brudu schodach. Żyje tu mrowisko ludzkie, jutra niepewne. Żyją tysiące ludzi. Znalazł się człowiek, który kilkanaście lat życia poświęcił na badanie życia tego mrowiska*). Praca niełatwa, często niebezpieczna. Oddał jej się badacz z wiarą, z entuzjazmem, w przekonaniu, że trzeba dla tych tysięcy pracować, aby je wyzwolić,

uobywatelić, uspołecznic. Myślał, że przykład jego zachęci innych, że za literatem, przyjdzie człowiek czynu, rada miejska Rzymu, że jego spokojne badania rzeczywistości odsłonią taki obraz życia, że spokojny obywatel zrzuci z siebie kostium, maskę zadowolonego z życia, a przede wszystkim z siebie płatnika podatkowego, że zadręga w tym zjadacz chleba sumienie, że zajrzy do tych otchłani prawodawca, higienista społeczny, że ręka obywatela skanalizuje te moczary społeczne, wysterylizuje z nich pierwiastki rozkładu i zbrodni.

Pisarz ten jest socjalistą. Nazywa się Orano. Przed laty dwunastu był on sekretarzem założonego na Testaccio przytułku dla dzieci. Obok przytułku powołał do życia „komitet śniadań dla dzieci w wieku szkolnym“, który rozdaje codziennie przy pomocy zarządu miejskiego tysiąć porcji zupy dzieciom uczęszczającym do szkoły, założył szkołę zawodową dla dziewcząt, przytułek pod wezwaniem „Anity Garibaldi“, bibliotekę ludową, salę koncertową, kinematograf szkolny, ambulatorjum, szkołę ludową wychowania obywatelskiego, komitet opieki nad rozwojem ekonomicznym i moralnym dzielnicy Testaccio, salę śniadań dla biednych matek, karmiących dzieci, „kroplę mleka“... Wszystkie te instytucje powoływał do życia, widząc ich brak na każdym kroku. Obejmując początkowo dzieci, szukając przyczyn ich niedorozwoju rozumiał, że przyczyn tych szukać musi u nich w domu, w otoczeniu rodzinnem młodego pokolenia. Starał się tedy otoczenie to zbadać, zbliżyć się do rodzinnego ogniska. Socjolog — przystąpił do poznania drobiazgowego całego układu życia społecznego i moralnego ludności Testaccio — najbiedniejszej, najciemniejszej ludności Rzymu. Zorganizował swój własny komitet ankietowy. Obszedł wszystkie domy robotnicze, mieszkańców wybałał, izby wymierzył, ludność porachował. Zebrał dane o życiu, o cenach komornego, o żywieniu się ludzi, o zajęciach, o troskach, o tęsknotach mieszkańców. Mierzył wysokość ścian, określał ilości powietrza dla jednostki, badał naczynia kuchenne, ubrania, oglądał spiżarnie i kłozety, całe szyby w oknach. Zwracał uwagę na takie szczegóły jak obecność lampki przed obrazem świętym. Wdawał się w długie rozmowy ze stróżami, z szynkarzami, z pacholkami policyjnymi. Zaglądał też do archiwum miejskiego, starał się odtworzyć przeszłe dzieje społeczne, polityczne, artystyczne dzielnicy, do której przywiązał się, jak widać, nie tylko ciekawością umysłu socjologicznego, ale i sercem obywatela, w którym bije dzwon sumienia!

Drugi tom opracowania Orano rozpatrzy sprawy następujące: „rodzina, moralność, prostytutka, szynk, religijność, partje polityczne, przestępczość, wykształcenie, wychowanie“. Będzie ciekawszy jeszcze od pierwszego. Dziś wydany został pierwszy, który zawiera komentarz do tablic, obejmujących kwestję *mieszkań robotniczych, płacy robotniczej i pauperyzmu*, słowem podłoże tomu następnego.

Mieszkania robotnicze są przeludnione. Któż wątpiłby, kto widział kiedykolwiek mieszkania robotnicze? W mieszkaniach jednoizbowych mieszka 10 — 16 osób, w trzyizbowych 25 — 28 osób. W całej dzielnicy znaleziono zaledwie 19 osób, posiadających po całym pokoju dla siebie i 62 małżeństw, rozporządzających jedną izbą dla wyłącznego użytkowania własnego. Nietylko pokój, ale i łożo jest własnością zbiorową. Łoże służy rodzicom, a jednocześnie nieletnim i dorosłym dzieciom. Kąty zajmują przychodni robotnicy, których

*) Domenico Orano, *Come vivo il popolo a Roma*. Saggio demografico sul quartiere Testaccio (1912).

od dorosłych córek gospodarzy odgradza... papierowy parawan. Obliczono, że na mieszkańca wypada jeden i trzyzwarte metra sześciennego powietrza. Okien nie otwiera się nigdy — ani zimą ani latem. Wieloletniego wielopokoleniowego trzeba przygotowania do takich warunków, aby w nich żyć i wypoczynek przed i po pracy znaleźć. Łóżka (składane) stoją w korytarzach, stoją nawet w... klozetach. W jednej kuchni znaleziono w nocy rodzinę z ośmiu osób złożoną. Żarło ją robactwo bez litości. Zrezygnowana nie myślała o samoobronie. Myślała z trwogą o porannym posiłku i chleb z wieczora pozostały zawijała przed żarłocznością robactwa w zdejmowane z własnego ciała ubranie!

Dzieci jest wiele. Rasa włoska jest płodna. Śmiertelność dzieci nadzwyczajna. W ostatnich dziesięcioleciach coraz więcej spotykać się dają wypadki sztucznych poronień. Niema jeszcze—jak we Francji teorii praktycznego neomaltuzjanizmu. Niema porad półjawnych, a dla matek robotniczych powszechnie dostępnych, niema propagandy, ani doradców-lekarzy, wystarczy owczarz, brudna akuszerka, szubrawy lekarz upadły. Lud robotczy dzielnicy Testaccio nie zna jeszcze lekarzy. Zadawała się obrazami świętych: Santa Lucia pomaga na chorobę oczu, Santa Appolonia — na zęby, San Teodoro—od chorób dzieci, San Gaetano—od cholery. Gdy zajdzie potrzeba, wystarczy zapalić lampkę pod właściwym Aniołem Stróżem. Mogłoby nam się wydawać, że Testaccio żyje jeszcze w XII czy XIII stuleciu ery naszej.

Nietrudno domyślić się, jak wygląda życie zamknięte w tych ścianach, brudnych, śmierdzących i ciasnych. Orano uczy nas, że ludność tu mrze na tuberkuły, że spożycie codzienne mleka wynosi dwudziestą część litra na człowieka, że znacznie większe spożycie bywa alkoholu, że używa się mało mydła, że na organizmie ekonomicznym tej ludności kwitnie pasożyt „lichwiarz“ dzielnicy, pobierający pod osłoną prawa 30%.

Tą straszną nędzą nieraz postanawiała zająć się bliżej rada miejska Rzymu. Zainicjowano budowę domów robotniczych na wielką skalę. Nowe domy, higienicznie budowane wywołują wzrost cen na komorne. Nietylko w Rzymie — w całym przecie świecie jesteście świadkami tej sprzeczności.

Miasto postanawia zasypać ogniska zarazy, niszczy stare dzielnice, wyrąbuje nowe szerokie ulice, buduje domy według wskazań higienistów. Ale w tych domach miejsca dla robotników niema. Oni opłacać czynszów wyższych nie mogą. Z chwila, gdy własne płucami osuszyli wilgoć nowego domu — wędrują dalej, ku krańcom miasta, niehigienicznemu, nieskanalizowanemu, morderczym, wieczna śmiertelna awangarda higienisty i polityka społecznego, który ich śladem idzie, dla ich dobra domniemanego pomysły swoje wypowiada i urzeczywistnia, a gdy pomysł w niemałym trudzie, często za pożyczone pieniądze (procenty zapłaci ten sam robotnik w podatkach pośrednich!) urzeczywistniony został—Syzyf wędruje dalej...

Orano pisze swoje książki dla rzymian, którzy wstydzą się dzielnicy Testaccio. Nie chodźcie tam—mówią. Tam hołota mieszka, tam organizują zbrodnie, bandyckie napady. Pamiętam, jak niechętnie prowadził mnie Anglik do dzielnicy włoskiej, koło Leicester Synau w Londynie. Tam zbrodniaresie się gnieźdzą i anarchiści! Wstydzicie się, obłudnicy!—woła Orano. Brzydkie jest Testaccio? Brzydzicie się niem, dumni rzymianie? Ale czyż symbioza chorych i chorych, jeszcze nieza-

rażonych z suchotnikami i syfilitykami na jednym spoczywających łożu, w brudzie i wśród wyziewów kloaki, czy beładne pożycie różnopłciowej ludności, młodej i starej—czy to okrutne podłoże nie tłumaczy dramatu od ajschylosowych smutniejszego? Ludność, która cierpi i pracuje—nie ma kąta własnego, gdzieby mogła wypocząć i zapomnieć, gdzieby mogła przemyśleć własną swoją myśl o świecie. Gdy słyszy o postępach nauki, higieny, techniki, gdy słyszy, w jakim beznadziejnym antagonizmie do tych cudownych postępów znajduje się własne jej życie—cóż dziwnego, że w jej świadomości mnożą się pierwiastki nienawiści do otoczenia dalszego—do bogaczy, do państwa, do zorganizowanego społeczeństwa, że pierwiastki te w połączeniu z temperamentem bezpośrednio żywym, południowym znajdują sobie często wyraz zewnętrzny w sztylcie, w piekielnej maszynie...

Tyle Orano, Domenico Orano, socjalista rzymski, który kilkanaście lat życia poświęcił na zbadań, na próby drobne pewnie, ale liczne i konieczne warunków, w których *vivo il popolo di Roma*. Dzielnica Testaccio nie tylko jest w Rzymie. Gdzież jej niema? Znajdą się pewnie polscy Oranowie tam wszędzie, gdzie cierpi i pracuje proletariusz polski.

Stanisław Posner.

MIASTO.

*Na kształt fal oceanu, co mocą djabelską
Skrzępy nagle w bezruchu, spiętrzone wysoko,
Widzę w dole, o miasto, potworne twe cielsko,
Którego krańców próżno szuka w dali oko.*

*W obojętne niebiosa wieżycy kościołów
Wznoszą, żebrząc o litość, błagalne ramiona,
A kominy fabryczne dym ciężki, jak otów,
Niby kłatwę, co zrywa się z ludzkości tona.*

*Gdy spowiją cię dymy, niby gęstą chmurą,
Przydając ponurości brudnym twoim murom,
O miasto, patrząc na cię, zdaje mi się oto,*

*Żeś jest straszliwym kotłem, w którym krew i złoto,
Zapalone w twych szybach zachodu purpura,
Szumi i kipi, warząc się na życia błoto.*

Aleksander Naworski.

O rehabilitację.

W № 15 „Przeglądu Wileńskiego“ p. t. „Dwa dokumenty“ zamieszczony został przedruk dyarju-sza, opisującego przyjęcie gen.-gub. Tutofmina przez kasztelana witebskiego Kurzenieckiego w r. 1796.

Zamieszczając dokument wspomniany jako charakteryzujący stanowisko szlachty ówczesnej, nie mieliśmy wcale zamiaru stawiać pod pręgierz osoby kasztelana Kurzenieckiego, który bynajmniej nie stanowił wyjątku w swem środowi-

sku. Tem mniej pragnęliśmy sprawić przykrość sukcesorom jego nazwiska, o których istnieniu nie wiedzieliśmy nawet.

Podaniem jednak do wiadomości czytelników „Przeglądu Wil.” owego dyarjusza uczuła się dotkniętą mocno p. Józefa Kurzeniecka, prawnuczka kasztelana, która w nadesłanym nam liście usiłuje usprawiedliwić postępowanie swego pradziada i charakteryzuje go jako dobrego patriotę, który „żadnych też nigdy łask ani odznaczeń od rządu imperatorowej nie otrzymał”. Zaznacza następnie p. Kurzeniecka, że ojciec i dziad jej — pierwszy w sprawie Konarskiego, drugi w powstaniu 1863 roku złożyli wielkie ofiary dla ojczyzny i utracili wszystkie swe dobra. Żał więc żywi do nas p. Kurzeniecka, jako „jedna z ostatnich z tego postawionego pod pręgierz rodu”, żeśmy „lekkomyślnie” wyrządzili krzywdę żyjącym spadkobiercom „tradycji rodowej”.

Wobec tego zaznaczamy z naciskiem, że nie chodziło nam wcale o stawianie pod pręgierz osoby kasztelana Kurzenieckiego, ani tembardziej o czynienie ujemy temu nazwisku. Sądzymy bowiem, że potomkowie w żadnym razie nie mogą ponosić odpowiedzialności moralnej za czyny swych przodków, wartość zaś „tradycji rodowej” jest na ogół kwestją wysoce problematyczną.

Chętnie, zresztą gotowi jesteśmy uznać, że kasztelan Kurzeniecki był zacnym człowiekiem skądinąd i nie chciał złożyć przysięgi królowi pruskiemu, narażając się na sekwestr swych majątności pod Warszawą, bo przytoczony opis przyjęcia wielkorządcy rosyjskiego nie miał bynajmniej na celu charakterystyki osoby kasztelana, lecz jedynie ilustrację ówczesnych stosunków i pewnych metod politycznych szlachty polskiej w naszym kraju — metod, które aż do dziś przetrwały, ulegając słabym zaledwie modyfikacjom.

Tuszmy, że krótkim wyjaśnieniem powyższem dajemy satysfakcję wystarczającą dotkniętemu uczuciu rodzinnemu p. J. Kurzenieckiej, którego urazić nie mieliśmy najmniejszego zamiaru.

Redakcja.

Kobieta i jej dorobek.

(Uwagi z powodu odczytu L. Krzywickiego).

P. Ludwik Krzywicki, znany antropolog i socjolog polski, należy do nielicznych u nas publicystów, zajmujących się wytrwale i z niegasnącym zapałem sprawą równouprawnienia kobiet. Roztrząsając kwestję tę w warszawskich pismach postępowych, przyczynił się on znakomicie do spopularyzowania wśród tamtejszego społeczeństwa poglądów nowoczesnych. Jeżeli dziś organizują się bez szczególnych przeszkód nawet kobiety, należące do warstw konserwatywnych; jeżeli takie np. Koła ziemianek (w Królestwie bardzo obecnie czynne) we własnym swoim środowisku spotykają się z sympatją i poparciem — jest to w znacznej mierze zasługą działaczy z obozu Krzywickiego, który jeszcze w oczach matek nowego pokolenia obywaterek (nie w znaczeniu właścicielki ziemskich, lecz obywaterek kraju) uchodził za szkodliwego mąciela umysłów, burzyciela dobrych, starych obyczajów.

Śród starych obyczajów czuły się tak dobrze niewolnice, że swem niewolnictwem zrosłe, że, jak żaby z bagna, ani myślały z nich się wydestawać. Hasła emancypacyjne miały grunt podatny jedynie w sferze proletariatu inteligentnego, któremu życie, walka o byt, nie pozwalały bawić się we flirt. Zresztą, tradycje proletariatu nie były nigdy obce rzucaniu na rynek pracy rąk roboczych niewieścich. A rynek ów przecież, sprzyjając ekonomicznemu uniezależnieniu kobiety od mężczyzny, stwarzał najwłaściwszą podstawę idei emancypacyjnej. Dopóki wszakże zjawiały się na nim tylko niewieście ręce — świadomość sytuacji drzemała. Zbudziła się ona dopiero wówczas w całej pełni, gdy obok pracy fizycznej kobieta wyniosła na targ swą pracę umysłową.

Tym to właśnie pracownikom umysłowym nieśli przedewszystkiem i niosą serdeczną pomoc działacze w rodzaju Krzywickiego.

Odczyt, który wygłosił on u nas w niedzielę, nie należy przecież do najudatniejszych jego występów. Traktowanie przedmiotu wydało mi się feljetonowe; poszczególne części prelekcji nie spajały się ze sobą należycie, a całości — że tak powiem — brakło kręgosłupa. W Warszawie zresztą wady te możeby nie raziły tak bardzo. Publiczność tamtejsza, ze sprawą i teoretycznie i praktycznie bliżej obznajmiona, luki uzupełnia własną orientacją; odczyty podobne uważa za poszczególne rozdziały toczącej się latami dyskusji, wśród słuchaczy względnie popularnej.

Inaczej w Wilnie.

Aby zobrazować odległość dzielącą w danym wypadku publiczność od prelegenta, dość tu wspomnieć, że po odczycie słyhać było takie np. uwagi: „Wszystko to dobrze, ale co Polinezja ma z nami wspólnego?” albo: „Jakto, czyż tylko rękawiczki odróżniają nas od dzikusów afrykańskich?”.

Podczas, gdy w Warszawie mniejszość audytorjum, w Wilnie jego większość nie rozumie, że zwyczaje, obserwowane dziś jeszcze w Polinezji, stanowią przeszłość społecznej cywilizacji europejskiej; że instytucje, naszemu spólzyciu służące, często rodowodem swym sięgają okresów przedhistorycznych i biorą początek z poniechanych od dawien dawna wierzeń.

Dlaczego społeczeństwa dzisiejsze odmawiają kobiecie pełni praw obywatelskich? Dlaczego ustawy ją traktują, jako istotę niższą, niedojrzałą? Dlaczego literatura, dająca wyraz naszym instynktom, a więc przedewszystkiem literatura t. zw. modernistyczna, podporządkowująca umysłowość uczuciowości, odnosi się do niewiasty pogardliwie? Czy dlatego, żeśmy pewni, iż pierwszy lepszy stróż jest bardziej uczłowieczony, niż Orzeszkowa? Czy my, pokolenie obecne, na mocy własnego doświadczenia przekonaaliśmy się, że coraz liczniejsze zastępy literatek, lekarek, nauczycielek, urzędniczek nie zdolne są tak orjentować się w życiu publicznem, jak mężczyźni nawet, stojący na daleko niższym od nich poziomie umysłowym?

Bynajmniej! Dziś każdy rozsądny człowiek ceni znacznie wyżej zdanie wykształconej niewiasty, niż analfabety-mężczyzny. Ten sam wszakże rozsądny człowiek będzie wolał dać prawo głosowania do parlamentu stróżowi swojemu, niż koleżance z biura, szpitala, uniwersytetu.

Oto sukcesja po naszych pra-pradziadach, którzy wyobrażeniami swemi i kulturą podobni byli do zachowanych dotąd społeczeństw dzikich. I w tem właśnie nasz bliski związek z Polinezją lub innym krajem barbarzyńskim, związek tak

nieoczekiwany, niezrozumiały dla części wileńskich słuchaczy Krzywickiego.

A z tej właśnie strony, t. j. ze strony powinowactwa społecznych instytucji z obyczajami ludów pierwotnych, prelegent, jako antropolog, oświeciła kwestję kobiecą. I oświeciła chwilami tak jaskrawo, że aż razi tych, co z owego punktu widzenia patrzeć na nią nie przywykli.

Rażące jest np. już samo wytknięcie, iż mężczyzna wciąż dotąd traktuje kobietę z pogardą.

— Z pogardą? — zapyta profan. — Jakto? Wszak myśmy pełni szacunku i kurtuazji.

Rzeczywiście, kultura salonowa i towarzyska wogóle obyczaje nasze znacznie ogładziła. Ale życie nie toczy się w salonie. Wszędzie zaś tam, gdzie ma ono swą istotną wagę, kobieta upokarzana jest na każdym kroku.

Z faktu tego w większości wcale sobie sprawy nie zdajemy — ani mężczyźni, ani nawet kobiety. Niższe stanowisko tych ostatnich, ograniczenia prawne i obyczajowe wydają się nam rzeczą zupełnie naturalną, *przyrodniczo* usprawiedliwioną. Nikomu do głowy nie przychodzi, że całym innym motywem, zgola nie te, jakimi obecnie staramy się usprawiedliwiać podległe stanowisko niewiasty, odegrały rolę w jego utwierdzeniu.

Jak dalece pojęcia dzisiejsze odbiegły od zapatrywań pra-pradziadów naszych, którzy stworzyli podwaliny prawodawstwa antyfeministycznego, dość przypomnieć fakt, że jeszcze w wiekach średnich, w dobie rozkwitu chrystjanizmu, istniała naukowo dyskutowana kwestja: czy kobieta ma duszę. Odzywały się bardzo naówczas poważne głosy, iż niewiasta duszy nie ma, tylko parę. Wątpliwość ta, monstrualna z naszego punktu widzenia, była wynikiem tradycji, echem okresów, jeszcze bardziej od średniowiecza naiwnych, jeszcze bardziej barbarzyńskich. Wszak judaizm, na którego podłożu zrodziło się chrześcijaństwo, uważał (a ortodoksalnie i dotąd uważa) kobietę za stworzenie nieczyste; człowiekiem jest właściwie tylko mężczyzna, on tylko z Bogiem obcuje; niewiasta nie ma nawet prawa modlić się. Jest ona, jak zwierzę robocze lub sprzęt, własnością ojca, męża, brata, a bezwzględne posłuszeństwo ich woli stanowi główną cnotę niewieścia.

Im dalej cofamy się we wsteczne okresy cywilizacji, tem większa jest odległość między położeniem mężczyzny i kobiety, której interes życiowy jest absolutnie ignorowany. Odnajduje się wreszcie ślady takich epok, w których kobiecie już nie tylko modlić się nie wolno, ale niema ona prawa nawet znać „tajemnic męskich“, t. j. obrządków religijnych.

Pewien misjonarz opowiada, że wpadła kiedyś do niego dziewczyna plemienia, wśród którego mieszkał, błagając o ratunek.

— Co się stało? — pyta gospodarz.

— Przechodziłam — odpowiada dziewczyna — obok miejsca, gdzie mężczyźni odprawiali swe tajemnice i spostrzegłam, co tam czynili. Czeka mnie straszna kara.

Misjonarz ukrył nieszczęśliwą; wkrótce jednak dom otoczył tłum, domagający się wydania zbiegłej. Tłum ten mnożył się z każdą chwilą, wydając coraz groźniejsze okrzyki. Nie było rady; dziewczynę trzeba było oddać. Misjonarz upewnił się jednak przedtem, że będzie ukarana jaknajłagodniej. Po pewnym czasie pyta, co z nią uczyniono i dowiadyuje się, że ją żywcem zakopano.

— Jakto! — woła — toć przyrzekliście mi łagodnie ją ukarać.

— Właśnie — odpowiedziano mu — to była kara możliwie najłagodniejsza.

Fakt ten oburza nas, przeraża.

Kto wie jednak, czy naszych praprawnuków nie będzie w równym stopniu oburzało to np., że kilkanaście lat temu Skłodowska (ta obecnie tak sławna p. Curie) daremnie kołatała do laboratoriów wszechznanej Jagiellońskiej, a dla żądań sufragżystek angielskich nasze t. zw. poważne organy prasy — poważną powagą zwierząt przeżywających — mają tylko słowa płytkiego szyderstwa.

B. H.

Korespondencje.

Mińsk.

Nacjonaliści mińscy bodaj że stanowią jedno z silniejszych gniazd reakcji, jednak widocznie czują się jeszcze zbyt mało „działającymi“, mimo znane konferencje hr. Bobrinskich i zapowiedziane odczyty Puriszkiwiczów — skoro postanowiono otworzyć *nowy* oddział nacjonalistów rosyjskich w Mińsku. Tym razem nazwano go „borysowskim“, zapewne na pamiątkę roku 1812. Głównie zwrócić należy uwagę na to, że będzie to organizacja radnych ziemstwa gubernjalnego, gdyż na prezesa „borysowskiego“ oddziału wszechrosyjskiego związku nacjonalistów — wybrano prezesa zarządu, p. Samojlenkę, na członków zaś rady zarządzającego bankiem włościańskim — Gracjanowa, z Pińszczyzny wszedł znany Papa-Afanasopoło, z Borysowa — Podlinskij, oraz radni gubernjalnego ziemstwa von Moller i Demidow. Pierwsze obrady nowego stolypinowskiego ziemstwa przeszły u nas bez wszelkich wycieczek w stronę polskośći, nacjonalistyczne tendencje były jeszcze zamaskowane; obecnie — skoro zorganizowano siły — należy się spodziewać i polityki w kierunku tak dobrze już nam znanym.

* * *

Odczyty, zwłaszcza dobre, są u nas bardzo chętnie słuchane. Polskich odczytów mamy bardzo niewiele, zazwyczaj lepsi prelegenci rzadko przyjeżdżają, a dyletanckie prelekcje jedynie tylko odstraszą publiczność.

Natomiast dość często przyjeżdżają dobrzy mówcy rosyjscy — mieliśmy właśnie dwa odczyty krytyka literackiego Czukowskiego „O Oskarze Wilde“ i „A któż to taki Leonidas Andrejew?“ Oryginalny styl, głębokie ujęcie tematu, niepospolity sposób mówienia zjednały licznych słuchaczy, którzy prelegenta dwa razy witali z zapalem na estradzie.

Również ciekawie przedstawiają się rezultaty popularnych odczytów, urządzanych minionej zimy przez oddział miński ochrony kobiet.

Na odczytach ogółem było około 2 tysięcy osób, największa ilość była 480, najmniejsza — 190 osób. Słuchano z wielkiem skupieniem zazwyczaj i gorąco dziękowano prelegentom. Odczyty te ściągaly szerokie warstwy ludności, chętnie uczeszczali robotnicy. Dowiadujemy się, że na jesień i zimę systematycznie urządzone będą

wykłady popularne, liczba bowiem prelegentów zwiększyła się w ostatnich czasach.

I nasze stowarzyszenia podobno mają zamiar urządzić w nadchodzącym zimowym sezonie odczyty popularne dla szerszych warstw—czego tylko gorąco pragnąć należy.

* * *

„Świsłocz“ — nasza kooperatywa spożywcza, zakładana z wielkimi nadziejami rozwoju, zesłała do roli zwykłego sklepu i zagubiła gdzieś w pięcioletnim swym żywocie cel swój główny i zadanie. Pisaliśmy już o „Świsłoczy“ (w № 8 „Przeglądu Wileńskiego“), wyrażając nadzieję, że ogólne zebranie roczne da inny kierunek, zmusi zarząd do wejścia na tory należyte. Zebranie takie odbyło się właśnie 21 b. m., ogólna apatja jednak nie zdołała osiągnąć większej ilości członków, wobec czego przeprowadzić szerszych uchwał nie zdołano. Zwyciężyła „szeptana“ agitacja i zarząd pozostał w składzie zachowawczym, a co gorsza, nie mającym pojęcia o kooperatywie. Dyskusja wprawdzie na ogólnym zebraniu była ożywiła, wykazywano dobitnie wady i zaśniedziałości w prowadzeniu instytucji, która miałaby wszystkie dane rozrosnąć się w silną organizację ekonomiczną, lecz nie wiele to pomogło, gdyż na rok przynajmniej „Świsłocz“ skazana jest przy tym składzie na powolne w dalszym ciągu zamieranie. U nas dziwnie odbywają się wszelkie wybory do do instytucji: zwykle co pewien czas wylosowuje się kilku członków zarządu, aby tym sposobem dać dopływ nowym siłom, starzy zaś powinni już nie rościć sobie pretensji do ponownego wejścia, tymczasem zawsze niemal wybierają tych samych ludzi, zawsze więc ta sama atmosfera, zawsze te same drogi lekliwe, pełne formalistyk, niepewne, nacechowane obskurantyzmem.

I długo u nas tak będzie. W zarządzie pozostali nadal pp. Czerniawska Zofja, Hrehorowiczowa, Dulewicz Józ. i Fr. Łętowski. Obrót w roku sprawozdawczym wynosił 33 tysiące rubli, wydatki 3 tys. rubli, zysk 414 rubli, z czego 20 proc. przeznaczono na gratyfikacje oficjalistom sklepu, resztę zaś na pokrycie strat zeszłorocznych.

Zebranie poleciło Zarządowi, by uznał za wskazane powołać zarządzająco sklepem fachowca. Czy oporny na wszelkie reformy zarząd cokolwiek uczyni w tym względzie — należy wątpić, gdyż ani o rozwój, ani o propagowanie kooperatywy wcale mu nie chodzi.

Poczekamy—zobaczymy.

* * *

Miasto nasze zaciąga miljonową pożyczkę na wykup tramwaju konnego i budowę elektrycznego. Mieszkańcy Mińska od lat paru z upragnieniem czekają zaprowadzenia porządnej komunikacji tramwajowej, co bezwątpienia wpłynie na niżenie niebywale wygórowanej ceny mieszkań, ożywi przedmieścia odległe u nas znacznie od centrum i miastu, zapewni poważny dochód.

Spodziewamy się, że wkrótce zostanie powzięta ostateczna decyzja i w czyn postanowienia w najkrótszym czasie wprowadzone będą. Ostatnie posiedzenie Rady miejskiej roztrząsało ciekawo i doniosły fakt. Mianowicie jeden z radnych przy omawianiu przez Radę podwyżki pensji architektowi miejskiemu, zwrócił uwagę, że nadzór prywatny nad budową nowowznoszonych zabudo-

wań prowadzi tenże architekt i że są narzekania akoby z tego powodu, obywateli miejskich na przetrzymywanie pozwoleń na budowę tym, którzy nie powierzają dozoru architektowi miejskiemu. Architekt dopatrywał się w tem wystąpieniu obrazy i podał na sąd radnego. Ten ostatni właśnie złożył Radzie wniosek o wolności słowa radnych.

Dyskusja w tym względzie była bardzo ciekawa i znamienita: jedni twierdzili, że zupełnie słusznie podał na sąd architekt radnego, inni znowu — że nic uwłaczającego godności architekta miejskiego w słowach radnego nie było i wniesiono to do protokołu posiedzenia Rady.

— Skoro za krytykę urzędników miejskich radni oddawani będą pod sąd przez tych ostatnich — to co za cel mają obrady? — mówi jeden z radnych.

— Na to są właśnie radni, ażeby poddawali krytyce działalność urzędników miasta—mówi znowu inny.

— Jak to może „sługa“ podawać na sąd gospodarza — mówi zainteresowany radny wśród ogólnego śmiechu na sali.

Sprawa ostatecznie oparła się o sędziego i Rada jeszcze do niej powróci. Rada obecnie wypowiedziała się w kwestji wniosku „o wolności słowa radnych“, iż nie posiada kompetencji odpowiedniej.

Stanowisko Rady może w tej sprawie, jako precedens mieć poważne znaczenie. Fakt jest faktem, że obecny architekt miejski nie wiele się przyczynił do estetyki miasta mimo właśnie nadzór nad budową: domy są karykaturalnie wstętnie w „stylu“, rozplanowanie zwykle niewygodne, higieniczne urządzenia prawie żadne. Zdaje się, iż wszystkie elaboraty byle kreślarska-technika są zatwierdzane i partactwo budowlane kwitnie. Dopiero kilka domów wzniesionych według projektów warszawskich budowniczych pokazało miastu, jak można budować.

W tym względzie architekt miejski — zdaniem naszym — mógłby bardzo wiele zrobić. Za przykład niech posłuży choćby Homel. Tam gmach gimnazjalny, poczta, pasaż — są wzorowo projektowane i wybudowane — a to zasługa młodego oddanego swej sprawie z zamiłowaniem architekta miejskiego.

A w życiu naszym ma wielkie znaczenie estetyczny rozwój miasta.

* * *

Przybyła do nas na dwa przedstawienia wileńska „Lutnia“ (wydział dramatyczny), odegrano w sali teatru miejskiego w sobotę 21 b. m. „Radziwiłł Panie Kochanku“, a w niedzielę „Irydjona“ Zyg. Krasieńskiego.

Zarówno pierwszą, jak drugą sztukę grano dobrze. Szczególnie liczone, że przedstawienie „Irydjona“ ściągnie liczną publiczność, jednak stało się inaczej — sala w połowie świeciła pustkami. A grano doskonale i całość wystawiono bardzo starannie. I nic dziwnego, że po takim nakładzie pracy ludzie ci chcieli pokazać w większych środowiskach polskich ten piękny utwór Krasieńskiego.

— Dlaczego jednak tak mało publiczności dziś? — zapytuje

— W „Sokole“ dziś grają „Rodzinę Furiozów“, specjalnie agitowano, rozwożono bilety do domów, ogłoszono, iż to ostatnie będą tańce w sezonie

bieżącym i to odciągnęło publiczność — odpowiada ją mi.

— Należało właśnie pociągnąć młodzież na „Irydjon“, po przedstawieniu mogłaby wszak tańczyć — wtrąca ktoś trzeci.

I istotnie stała się rzecz wysoce przykra: podczas, gdy grano tak wybitnie piękną sztukę, jak „Irydjon“ Kraszińskiego, dla konkurencji stawi się jakaś farsa, ściągają się na nią publiczność, opowiada o solidarnym obowiązku. Przecie „Irydjon“ pozostawiłby po sobie wspomnienie trwalsze, młodzieży i publiczności naszej dałby wrażenia przepięknej poetyckiej twórczości, zapoznałby z temi rzeczami, jakie nie często widuje się i słyszy. Farsę tę samą i w następną niedzielę bez szkody dla „ducha“ i... kasy możnaby zagrać.

Nie wchodzimy w to, kto tu w czasie pertraktacji zawinił — czy przedstawiciele „Lutni“, czy kierownicy teatru w „Sokole“ — uważamy tylko podobne fakty za wysoce niepożądane: rozbijają one dla prywaty najlepsze zamiary, tamują bieg strumienia, co kulturę szczerą ze sobą niesie.

Nie dla „Lutni“, lecz dla Kraszińskiego należało najliczniej zapelnąć salę teatralną, sztuka i dobra gra z wystawą odpowiednią przyniosłby i artystyczne zadowolenie i duchowi pożytek dały.

Nie chcielibyśmy wierzyć pogłoskom, że osobiste porachunki z p. Kupieckim spowodowały tę przykrą historję i czekamy wyjaśnień od „Sokoła“ w tej sprawie, żywimy niemal tę pewność, że zarząd Sokola oddać winien zawsze pierwszeństwo sztukom o wyższej wartości artystycznej nad farsą i prywatne swoje sprawy musiałyby usunąć na plan drugi wobec potrzeby okazania komu należy, że swoich gienjuszów umiemy cziścić.

Leszek Czarny.

Sprostowanie.

W № 16, w art. „Z wystawy Szt. Pięknych w Mińsku“ wkradły się następujące omyłki zecerckie: wiersz 18, str. 12 winno być: drobne pejzaże; wiersz 22 — Pilatti; wiersz 36 — (prócz); wiersz 48 — Czesław Wierusz (a nie Wieszek) i 55 wiersz — z dużą i wiersz 41 — rzetelne *swą prawdą*.

NA WIDNOKRĘGU.

Ciągle się słyszy o tem, że mocarstwa się krzątają około zawieszenia broni w Trypolisie, około zawieszenia broni, które ma służyć za podstawę do zawarcia pokoju. Tymczasem nikt na serjo nie zadaje sobie pytania, czy Turcja życzy sobie zaprzestania działań wojennych i czy te działania wojenne ukształtowały się do tego stopnia dla oręża tureckiego niekorzystnie, że zawieszenie broni stało się koniecznym.

Oczywista, źródła włoskie przedstawiają położenie na teatrze wojny bardzo stronnico. Według Włochów Turcja absolutnie nawet marzyć nie może o tem, by zdołała jeszcze czas pewien stawiać włosom opór. W podobnym świetle przedstawiają to położenie dzienniki angielskie, francuskie i niemieckie, ponieważ tym trzem państwom zależy teraz na jaknajprędzszym zakończeniu wojny. Śmiało można powiedzieć, iż z wielkich dzienników niemieckich tylko jedna „Frankfurter Ztg.“ podaje informacje bezstronne.

Według tych informacji położenie Turków w Trypolisie jest tego rodzaju, że mogą oni jeszcze bardzo długo i to bez wielkich wysiłków prowadzić w Trypolisie skuteczną walkę odporną. Wiele oznak zapowiada, że włosi wogóle się zrzekli akcji zaczepnej i oczekują sprowadzenia pomocy dla nich sytuacji politycznej dzięki operacjom floty wojennej włoskiej u wybrzeży Turcji europejskiej albo azjatyckiej.

Oficerowie tureccy w Trypolisie nie próżnowali w ciągu lutego. Przedewszystkiem sultan prócz żołdu i żywności dla każdego araba, który cały miesiąc przebywał na linii bojowej, przeznaczył żołd nadzwyczajny w sumie pół funta tureckiego. Ta nagroda pieniężna zachęciła Arabów do tego stopnia, że z każdym dniem zgłaszają się coraz liczniej do szeregów. Zwłaszcza Arabowie z gór męstwem i cnotami wojennymi przewyższają w wysokim stopniu Arabów pustynnych. Oficerowie tureccy cały czas wolny poświęcają na ćwiczenia wojskowe tych jeźdźców arabskich, odznaczających się niesłychanym męstwem, ale nierozumiejących wartości dyscypliny wojskowej. Codziennie szejki, będący urodzonymi dowódcami owych zastępów konnych muszą się zbierać na naukę. Oficerowie tureccy uczą ich najważniejszych zasad taktycznych i demonstrują pożytek dyscypliny wojskowej. Z kolei szejki uczą swoich podwładnych. Ćwiczenia praktyczne odbywają Arabowie w formie napadów nocnych na stanowiska włoskie. Ciemności nocne chronią ich przed ogniem dział włoskich i umożliwiają niszczenie przewodów telegraficznych i telefonicznych oraz torów kolejek polowych włoskich. Od czasu do czasu też wpadają w ręce podjazdów arabskich transporty żywności, przesyłanej przez główną komendę włoską w Trypolisie dla przednich strażów włoskich.

Początkowo wielkie wrażenie na Arabach robiło pojawienie się w powietrzu balonów sterowanych i aeroplanów, zwłaszcza, że włosi rzucali z tych aeroplanów i balonów nie tylko manifesty i odezwy pokojowe, lecz także bomby. Zwolna przecież oswojono się z tym sposobem prowadzenia wojny tembardziej, że nie wszystkie bomby wybuchały, upadły na ziemię.

Rząd turecki przeto może bez wielkich dla siebie strat prowadzić w ten sposób wojnę jeszcze bardzo długo. Włochy natomiast się znajdują w położeniu daleko gorszem. Rzecz tedy zrozumiała, że właśnie Włochy domagają się najczęściej zmuszenia Turcji przez Europę do zawarcia pokoju.

Bombardowanie Dardanelów miało właśnie na celu zaalarmowanie mocarstw i obliczone było na ich interwencję. Obecnie krokiem analogicznym jest zajęcie przez Włochy wyspy Rodosu, które nastąpiło w sobotę.

Rodos należy do tureckiego wilajetu wysp na morzu Egejskim i leży na północny wschód od Krety. Powierzchni ma 1,460 km. kwadratowych, liczy około 30,000 mieszkańców, w tem dwie trzecie Greków, 7,000 Turków, resztę Żydów i Europejczyków. Stolicą jest miasto o nazwie identycznej z wyspą, liczącą około 9,000 mieszkańców, w tem 80 procent Mahometan i 20 proc. Żydów. W wiekach średnich była głównym punktem oparcia zakonu rycerskiego Johanitów, którzy dopiero w pierwszej ćwierci wieku szesnastego musieli ustąpić na Maltę pod naciskiem siły zbrojnej Sclimana II. W tym czasie Rodos był też ważnym punktem handlowym, nie tylko jako druga

co do wielkości wyspa archipelagu, lecz z powodu sytuacji geograficznej i dzisiaj, aczkolwiek znaczenie ekonomiczne w znacznej części stracił, jest dość ważną stacją dla statków handlowych, płynących na wschód. Pięć międzynarodowych linii parowców zawija do portu na Rodos, dziewięć państw utrzymują tam swe konsulaty.

Wobec obsadzenia wyspy przez Włochów nasuwa się kwestja jej strategicznej wartości. Rodos leży o 20 km. zaledwie od brzegu Azji Mniejszej, w bliskości Krety i Cypru, lecz pod względem wojskowym nie posiada znaczenia donioślejszego, zwłaszcza dla Włoch w obecnej wojnie. Prawdopodobniejszym wydaje się, że obsadzając Rodos, Włochy spodziewają się efektu moralnego, a także pragnęłyby mieć w ręku jakiś kawał ziemi tureckiej na wypadek rokowań pokojowych. Prawdopodobnym jest także obsadzenie dalszych wysp na morzu Egejskiem, Cios-Mitylene, Lemnos, Tenedos i Imbros. Dyplomacja włoska sądzi zapewne, iż w ten sposób Turcja będzie skłonniejszą do rokowań o pokój, sama zaś operacja będzie łatwa i nie napotka się z większym oporem na miejscu.

W ten sposób Włochy przeprowadziły pierwszą akcję zaczepną poza właściwym terenem wojny: poza Trypolitanją. Dotychczasowe operacje miały charakter ataków morskich i bądź miały charakter ataków morskich i bądź miały na celu zniszczenie statków tureckich, bądź demonstrację, bądź też, jak na wybrzeżu jemeńskim, łączyły oba te cele. Działała w nich tylko flota. Obecnie działanie jest skombinowane, flota służy tylko do osłony lądowania wojsk, płynących na parowcach transportowych.

Zaznaczyć jednak należy, że zajęcie Rodosu nie wyrządza żadnej realnej szkody Turcji. Nie wyrządziłoby jej także szkody ani pod względem handlowym, ani finansowym zajęcie wszystkich wysp Archipelagu. Wyspy te, żyzne i gęsto zaludnione w czasach starożytnych, są teraz bez wyjątku opuszczone i słabo zaludnione; ich produkcja ledwo wystarcza na potrzeby miejscowi. Nawet na Cyprze, który jest daleko żyzniejszy od Rodosu, Anglicy, posiadacze wyspy od lat kilkadziesiąt, z trudnością dopięli tego, że dochody z wyspy pokrywają wydatki na jej administrację.

Wilajet Archipelagu, którego gubernator rezyduje na Rodosie, nigdy jeszcze nie przyniósł grosza skarbowi tureckiemu; przeciwnie, skarb co rok dopłaca do administracji wilajetu. Deficyt ten dochodził w niektórych latach do 100,000 funtów tureckich. Takie same deficyty dawały Trypolis i Benghazi, tem się więc tłumaczy, że odcięcie tych prowincji od Turcji nie wyrządziło żadnej szkody skarbowi tureckiemu.

Ciekawe wyznanie.

Dla charakterystyki usposobienia, panującego w kołach wpływowych litewskich, posiada wartość pierwszorzędą następująca enuncjacja, zamieszczona w ostatnim numerze „Litwy“ p. t. „Różnica kierunków“. Podajemy ją poniżej *in extenso* bez komentarzy.

„Wielu jest zdumionych różnicą kierunków, jakie zapanowały w Litwie pomiędzy litwinami a polakami. Gdy pierwiej była święta zgoda, obecnie jej niema. Otóż uprzednio za czasów Rzeczypospolitej i potem panowała szlachta, a dziś rwie się do panowania lud. Szlachta uległa polonizacji w Litwie i na Rusi, ciągnie za sobą lud, który od kilkadziesiąt

lat uwolniony z pod pańszczyzny zdołał wyrobić sobie inteligencję i przy pomocy tego, co znalazł w piśmiennictwie po szlachcie litewskiej niespolonizowanej, zapoczątkował nowy kierunek narodowy litewski, wręcz przeciwny żądaniom spolonizowanej szlachty, idącej razem z Polską.

Polacy, naród liczny, około 20 milionów w trzech zaborach i w Ameryce, ciągle marzy o wielkiej polityce, chce wyjść z pod zależności, utworzyć państwo oddzielne razem z litwinami i rusinami, którzy do Rzeczypospolitej należeli.

Litwini, naród nieliczny, uszczuplony przez sławonizację i germanizację, liczący około 3 milionów, nie uważając się na tyle silnym co polacy, pragnie co najwyżej autonomji kulturalnej, nie mając dążeń separatystycznych, które nawet o wiele liczniejszych polaków niejednokrotnie zawiodły (roku 1831 i 1863).

Polacy dla przeprowadzenia swojej polityki liczą na Austrię, tak jak dawniej liczyli na Francję, pisząc o tem nawet otwarcie w prasie zagranicznej.

Polacy, aby przeprowadzając swoje plany, stanąć silniej, pragną zgody z litwinami i rusinami, którym te plany nie są na rękę, bo oni do wielkiej polityki nie dążą i mają oddzielne cele kulturalne.

Plany polskie ogólnie są znane. Solidaryzowanie z nimi kompromituje litwinów przed rządem rosyjskim, który i tak nie zawsze wyróżnia litwinów od polaków, co rodzi potrzebę tem większego wykazywania tej narodowej i politycznej różnicy.

Litwini wiedząc o tem, co rusini mają w stosunku do polaków w autonomji galicyjskiej, nie życzą sobie z nimi „braterstwa“. Którego tak usilnie pragną polacy.

Wiele o tem piszą litwini w pismach krajowych i zagranicznych. Pomiędzy innemi w wileńskiej „Siewiero-Zapadnaja Żiźń“ Nr. 75, daje artykuł p. Kowieńskiego „Znaczenie litwinów w kwestji polskiej“.

Ponieważ wielka polityka polska nie jest litwinom na rękę, więc można się spodziewać, że na ile polacy będą się starali do litwinów przybliżyć, na tyle oni będą się oddalać, pomimo różnych słicznych obietnic i wskazywania szczęścia, jakie być może przy wspólnem życiu z „braćmi“ polakami.

Naród litewski, tak jak i każdy inny naród, sam tylko sobie może stworzyć przyszłość. Nieczyja pomoc nie może, jeżeli w sobie siły nie będzie“.

Z rozporządzenia komitetu prasowego skonsultowany został № 17 „Przeglądu Wileńskiego“ z d. 21 kwietnia (4 maja) b. r. za artykuł wstępny „Świt“.

Treść numeru.

Demokracja a rozwój narodowościowy — M. Rómera.

Wynurzenia białoruskie — J. Sorokowicza.

Echa Leny — St. Gr.

Walka kleru z ludem.

Protest.

Jak lud żyje — St. Posnera.

Mieśco (wiersz) — A. Naworskiego.

O rehabilitację.

Kobieta i jej dorobek — B. H.

Korespondencja, Na Widnokregu.

Ciekawe wyznanie.

Odcinek: „Tragedja Krasińskiego“ — W. Makowskiego.

Żądajcie wszędzie „ODOBRIN“
tylko MICHAŁA LEBIEDIEWA.

Tępi odciski



i brodawki z koryzieniem.

J A J A!

do wylegania. Od konchichńskich 5 rb., Brama 8 rb. 50 k Langchamp 3 r. 50 k., Pilmonthrock 3 rb. 50 k., Vlandote 3 rub., Orphingtone 4 rub., Krewker 5 rb., Gougane 3 rb. 50 k., Hambursk. 3 rb., Andaluz. 3 r. 50 k., Włosk. 3 rb., Minorek 3 rb., bronzowych indyczek 7 rb., kaczek pekińskich i rouańskich 5 rb., gęsi Emdeńskich 12 rub. za tuzin. Gwarancja zupełna.

Katalog ilustrowany za zaliczeniem poczt. Cena 45 k.

Hodowla ptactwa E. W. Baggowuta. Kegel, gub. Estlandzka.

MAGAZYN MEBLI

B. Mołodeckiego i S-ki

Wilno, Wileńska № 26

vis a vis Dobroczyńności
i Świętojerski prospekt № 21.

Wielki wybór mebli po cenach
bardzo dostępnych.

Informator Handlowy.

BIURO PRZEPISYWAŃ
A. Skarzyńskiej

Wilno, Tatarska 12. Telefon 1002.
POŚPIECH I DOKŁADNOŚĆ.

SZEW C

T. KRZYŻANOWSKI

Wilno, Bonifraterska (Preobraż.) № 8.
Obuwie gotowe i na obstalunek.

St. Stefanowski

i J. Marciniak

Pracownia kostjumów, okryć oraz futer
damskich

Wilno, ulica Wielka № 20a.

KSIĘGARNIA

KULTURA Wilno,
Dominikańska 14.

PRENUMERATA PISM.
Wszelkie nowości.



J. MACIEJEWSKI

Mińsk lit. Zacharzewska 70 (vis a vis hotelu Odesy).

ZAKŁAD RYMARSKO-SIODALRSKI

Siodła, wszelkie zaprzęgi, chomonta robocze, kufry,
i wszelkie artykuły podróżne i galanteryjne.

Sezon Wiosna i Lato. Mody w wielkim wyborze oraz wykroje

u **S. BONISZKO** Redakcja żurnalów mód i manekinów.

Wilno, Ostrobramska 11, naprzeciwko Zjednoczonego Banku.



POZYTYW

Radykalny środek
od łupieru.

Przeciwko
wypadaniu włosów.

Wzmacniają
ich prost

K. ERMANS i S-ka Moskwa.

Krawiec

T. POPŁAWSKI

WILNO,
ulica Wielka d. № 56.

ZYGMUNT NAGRODZKI

w WILNIE.

POLECA

MOTORY i LOKOMOBILE ROPOWE BOLINDER

tanią, prostą i bez żadnych kaprysów siłą mechaniczną do poruszania
młynów, tartaków, młocarń tudzież różnych innych maszyn rolniczych
i przemysłowych.

Młyny patentowane „Planeta“ (fabryki Inżyniera Struka)
z obracającym się na kulach stalowych kamieniem dolnym. Odnznaczają
się nader wielką wydajnością mąki przy stosunkowo małym zużyciu
Bardzo łatwe do obsługi.

Młyny szwedzkie „Ekonom“ (fabryki „Westeros“)
z obracającym się kamieniem dolnym, znakomite młyny przenośne
na potrzeby własne większych gospodarstw rolnych lub mniejszych
zakładów młynarskich.

Młocarnie czyszczące i zwyczajne słynnej fabryki czeskiej
WICHTERLEGO

znane ze swej niezrównanej dobroci

Separatory duńskie **TYTAN-ALEKSANDRA**

Model r. 1910. Najnowszy i najbardziej udoskonalony typ wirówki ręcznej.

Proszę żądać cenników i prospektów.